



Wislickiego Adama

54.

Halevy Ludwik.

NOWELLE

przekład

Zofii Grabowskiej.

WARSZAWA

—
1883.

Cena koplejek 12.

PROSPEKT.

Dzisiejszy stan naszej oświaty wymaga nie tylko wydawnictw dobrych, kompletnych, ale i takich — odpowiednio do powszechnego ubóstwa, obok powszechnej chęci czytania. Wszystkie też narody posiadają takie tanie wydawnictwa arcydzieł literatury własnej i obcej, odnawiające się niemal corocznie, dla milionów co chwila przybywających do stołu oświaty. Anglicy cieszą się swymi pennowemi bibliotekami, a Filip Reclam swą „Universal Bibliothek”, której każdy tomik kosztuje 20 fenigów, zasiewa obfite ziarno po całych Niemczech. Dokonać czegoś podobnego dla literatury polskiej jest gorącą naszą chęcią, świętym obowiązkiem, gdyż tego pilna zachodzi potrzeba, gdyż coraz bardziej nowe pokolenia ze słuchu tylko powtarzają wieści o własnych i obcych arcydziełach. Czy taki stan ma się nazywać oświatą — czyż ma odpowiadać godności oświeconego narodu?

Trzeba temu zaradzić!

Wydawnictwo które niniejszym prospektem ogłaszamy, składa się z arcydzieł własnych i obcych literatur wybranych z dziedzin najobszerniejszych i najrozmaitszych. Ponieważ nie tworzymy żadnego zbiorowego wydania, a jedynym związkiem między pojedynczymi tomami będzie jednostajność formatu i okładki, przeto nie ogłaszamy żadnej peryodyczności w wychodzeniu tomów, ani żadnej z góry uiszczać się mającej prenumeraty. Każdy tomik złożony z pięciu do sześciu arkuszy druku, szesnastki wyraźnym bourgeoisie nadrukowanej, na dobrym

Halevy Ludwik.

NOVELLE

przekład

Zofii Grabowskiej.

WARSZAWA

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego.

1883.

315936



Дозволено Цензурою,
Варшава, 22 Маая 1883 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0298701

W Drukarni Przeg. Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

2/357/09p

MAŁŻEŃSTWO Z MIŁOŚCI.

On, codzień rano i wieczór zapisywał w notatniku, bez frazesów, stylem telegraficznym, króciuchny program i buletyn dnia bieżącego. Zaczął te notaty 3-go października 1869 r. w następujących słowach:

Zostałem mianowany podporucznikiem w 21-wszym pułku strzelców.

31-go grudnia chował zwykle do szuflady notatnik z roku ubiegłego, rozpoczynał zaś nowy, na rok bieżący.

Ona, będąc panną, pisała dziennik swego życia, staranniej i obszerniej, w błękitnych saffanowych książeczkach, szczelnie na klucz zamykanych. Dnia 17-go maja 1876 r. zaczęła dziennik ten od słów:

Włożę dziś pierwszy raz długą suknię.

Wyszedszy zamąż 17-go sierpnia 1879 r. zaprzestała pisać w tych błękitnych książeczkach, lecz w głębi skrytej szufladki zachowywała je na pamiętkę przeciągu czasu od maja 1876 r. do sierpnia 1879; to jest od włożenia pierwszej długiej sukni, do dnia ślubu.

On się także ożenił 17-go sierpnia 1879 r.; ale nie zaprzestał codziennych notat. W szufladzie od biurka miał więc trzynaście notatników, w których spisywał wypadki swego życia, dzień po dniu i bardzo dokładnie, chociaż w suchej formie. Od czasu do czasu, brał z nich który, na traf, do przejrzenia. Otwierał i czytał piętnaście lub dwadzieścia stronnic, aby uprzytomnić sobie przeszłość, zestawiając to *co było* z tem *co jest*.

Otóż, 1-go czerwca 1881 r., dawniejszy skromny podporucznik z r. 1869, a dziś kapitan i szwadronista, — siedział około 10-tej godziny wieczór, sam jeden w gabinecie swoim, przy biurku. Zanurzwszy głowę w rękach, usiłował przypomnieć sobie, czy to na wiosnę r. 1878 czy też 1879 roku wydrukował w *Buletynie stowarzyszenia oficerów*, artykuł o nowej organizacji pociągów przewozowych austriacko-węgierskiej kampanii. Przyszło mu na myśl, że pewno znajdzie żadaną datę w swych notatnikach.

Otworzył szufladę i szczególnym wypadkiem odrazu natrafił na r. 1879. Przeglądał jakiś czas książeczkę, przerzucał stronicie — naraz, zatrzymał się i uważnie choć z uśmiechem przeczytał jakiś ustęp.

Wstał, odsunął się od biurka, usiadł w wielkim fotelu i czytał dalej, wcale już niemyśląc o nowej organizacji pociągów przewozowych w austro-węgierskiej kampanii. Śnać dawne wspomnienia rozbudzały się w jego sercu, wywołując zarazem i lekkie uśmiechy na usta i trochę rozrzwinięcia w oczach.

Trzy czy cztery razy ten kapitan kawalerji musiał nawet powstrzymywać końcem palca mały, maleńki zaród łzy.

Kiedy tak był pogrążony w czytaniu, uchyłono ostrożnie jedną z portyer i przesłiczna jasna główka ukazała się w tej ramie ze starych gobelinów.

Co on tam robi w tym dużym fotelu. Czyżby spał? Wygnał ją bez miłosierdzia przed pół godziną, żeby pracować, bo mu zawadza, sprawia roztargnienie i odrywa myśl od pracy.

Maleńka ta blondynka, gibka i szczupła, w długich fałdach penioaru z białego muslinu, wsunęła się z wielką ostrożnością do pokoju, zrobiła trzy czy cztery kroki na końcach paluszków i przechyliła się trochę na bok... Nie śpi... czyta... a to z uwagą, bo nic nie usłyszał i nie poruszył się... Jest w swoim prawie, czytanie to także praca.

Wstrzymując oddech, posuwała się ku fotelowi, powoli... powolutku... a idąc, zadawała sobie pewne pytanie. Jeszcze była trochę dziecinna; miała bowiem lat dwadzieścia jeden i była bardzo zakochana... Wytłomaczmy ją w tych kilku słowach, wracamy do pytania, jakie sobie zadawała.

— Gdzie go pocałuję? w czoło... w policzek... czy wszędzie po trosze?... gdzie natrafię?

Była coraz bliżej... już końcem paluszków dotykała się prawie włosów kapitana i miała sobie śmiało postanowić, że *wszędzie potrosze... gdzie natrafi*, gdy naraz, strasznie zbłądła... Na rozwartych stronicach przeczytała, co następuje:

16-go czerwca

kocham ją!

17-go czerwca

kocham ją!!

Jeden tylko wykrzyknik po pierwszym: *kocham ją*, dwa — po drugim. Wzmogło się po 16 tym a 17-tym i wydawszy lekki krzyk, cała drżąca, rzekła:

— Co to jest?.. co to jest?

Była blizką omdlenia... Zerwał się i pochwycił ją w objęcia; ale ona, zalewając się łzami, powtarzała wśród łkań:

— 16-go czerwca: *kocham ją!* 17-go czerwca: *kocham ją!* a dziś jest 19-go czerwca! Ty kochasz inną kobietę! Ach, to okropne! To okropne!

Wtedy on, obtarłszy jej łzy dwoma pocałunkami, rzekł:

— Mała waryatko; patrzże!

Otworzył notatnik na pierwszej stronnicy, gdzie był wydrukowany dużymi literami rok 1879.

— Ach! zawołała radośnie: — to byłam ja! to byłam ja!

Poczem nsiwnie i nieostrożnie, dodała:

— Czyś i ty także pisał dzienniczek?

— Jako, czy i ja także?.. Pokazuje się, żeś ty...

Musiała się przyznać, że jak on zapisywał: *kocham ją!* w notatnikach czarnych safianowych, tak ona również w książeczkach błękitnych safianowych...

— Pokaż notatnik, pokaż, rzekła, chciałabym zobaczyć, czy są trzy wykrzykniki 18-go a cztery 19-go.

— Piękne za nadobne, odparł. Przynies swoje książeczki dla porównania: przekonamy się, które z nas stawiało więcej wykrzykników.

Pokusa była zbyt silną... poszła więc po swój rok 1879 i powróciła z trzema książeczkami dosyć dużej objętości.

— Trzy tomy! zawołał.

— Tak, z trzech pierwszych kwartałów; a ty z całego roku masz tylko jeden lichy kajecik.

— Można bardzo dużo rzeczy wyrazić w niewielu słowach. Zobaczysz... Chodź usiąść tutaj, przy mnie... Jest dosyć miejsca dla dwojga, na tym foteln.

— Tak, jeśli usiądę u ciebie na kolanach.... Ale to jest niepodobieństwem.

— Dla czego?

— Może są rzeczy w moich książeczkach, których nie powinienś widzieć, rzekła pokazując swoje błękitne tomiki.

— Kto wie, czy się i u mnie coś podobnego nie znajdzie?.. Masz słusność... siedzmy zdaleka od siebie, jedno naprzeciw drugiego. Będziemy czytać to tylko, co się nam podoba.

— Łatwiej będzie opuszczać.

— Rozumie się... Zaczynaj.

— Nie, ty zaczynaj, dla dodania mi odwagi.

— Niech i tak będzie... ale od którego miejsca zacząć?

— Od tego, gdzie ja *zaczęłam*.

— Nie, trzeba zacząć trochę przed tobą... Trzeba tam zacząć, gdzie pierwsza wzmianka o Jowiszu.

— Prawda... Poszukajże...

— Czekaj... to musi być w pierwszej połowie maja... Tak, otóż i jest... *Czwartek 15-go maja*: obejrzeć u Chéri Jowisza — koń gniady, lat 7. Wskazówka katalogowa: doskonały wierzchowiec, wysoka szkoła jazdy, dobrze skacze. Chodził pod siodłem damskim. Wystawiony będzie na sprzedaż 21-go maja.

Bardzo zalecony przez d'Estilly. — Dwie stronnice dalej — *Sobota 17 maja*: Widziałem Jowisza. Bardzo mi się podobał. Gołów jestem dać za niego 2,500 fr. — Nakoniec cztery strony dalej: — *Środa 21-go maja*...

— Dzień naszego spotkania w wagonie... pamiętam tę datę.

— Tak, masz słuszość.

— *Środa 21-go maja*. U mojej siostry. Kupiłem Jowisza za 1,900 fr... Powracając siedziałem w wagonie naprzeciwko zachwycającej panienki.

— Tak tam jest? Nie zmieniasz trochę, przez grzeszność?

— Nic nie zmieniam.

— Pokaż.

— Masz, zobacz....

— Dobrze... widzę... *zachwycająca... jest: Zachwycająca...*

— Twoja kolej... Musisz coś mieć z 21-go maja.

— Bynajmniej! Czy myślisz, żem napisała „*powracając, siedziałam w wagonie naprzeciw zachwycającego młodzieńca*?”

— Nie, nie „*zachwycającego młodzieńca*”, ale... Zajrzyj jednakże...

— Tylko dla tego, żeby cię przekonać... Cóż tu jest? *Środa 21-go maja*... W Luwrze, u cioci, na wystawie sztuk pięknych... Niema, nic, powiedział ci... patrz... Owszem, dostrzegam coś...

— Byłem pewien; przecież zwróciłaś na mnie uwagę.

— Oto co jest: Gdy powracała kolej, siedział naprzeciwko mnie jakiś młodzieniec. Patrzył na mnie ciągle, przez calutką drogę. Sto razy podnosiłam

oczy, on swoje spuszczał; ale jak tylko ja spuszczałam, on zaraz podnosił. Od Charton jużem ich nie śmiała wcale podnosić, czując, że mi się ciągle przygląda. Miałam w torebce powieść angielską, wyjęłam ją więc i zaczęłam czytać, ale wieczorem musiałam na nowo cofnąć się do początku.

— Musi tam być coś więcej....

— Jest, ale nie zajmującego.

— Przeczytaj jednak... ja ci wszystko przeczytałam.

— O, ty... ty... wiem, co się okaże... u ciebie będą tylko notatki krótkie i suche, a u mnie szczegóły i rozwinięcia. Wyłomaczę ci dla czego: Oto moja nauczycielka, panna Guizard, powiedziała mi, opuszczając nasz dom: moje drogie dziecko, nieźle piszesz, ale musisz ciągle nad sobą pracować. W stylu trzeba się tak samo ćwiczyć za pomocą gam, jak w muzyce. Miej zwyczaj napisać w wieczór trzy lub cztery stronnice, o czemkolwiek: jak spędziłaś dzień, gdzie byłaś, kto cię odwiedził i t. d. Stosowałam się więc do wskazówek panny Guizard.

— Dobrze, dobrze.

— Nie, zależy mi na tem, żeby ci się jasno wyłomaczyć, bo wiem, co mię czeka. Będziesz upatrywał egzaltację uczuć i wylewy namiętności w tem, co było tylko ćwiczeniem stylowym i wprawianiem się w narację francuską... nie chciałam, żebyś się pomylił.

— Nie pomył się... ale co tam następuje po: *przyglądał mi się calutką drogę*?

— O tobie, nie a nie... przekonasz się... słuchaj... Byłoby to prawdą, co babunia mówiła onegdaj:—

To coś osobliwego, jak ta mała Joasia nagle wyła-
dniała. Ztąd długa rozmowa między babunią a ma-
mą. Mama wyrzucała babuni, że mi takie rzeczy mó-
wi, bo rozbudza we mnie próżność i t. d. Powia-
dam ci, że niema nic zajmującego. Czytaj dalej.

— Niema u mnie nic z 22-go.

— U mnie także.

— 23-go maja Jowisz przybył... próbowałem go na
tarasie i w lesie. Nie dopatrzyłem się żadnej wady.

— A o mnie... co?

— Nic.

— To trochę upokarzające, bo u mnie jest coś
o tobie: 23-go. Ów młodzieniec, który mi się przy-
glądał w wagonie, byłto wojskowy; przed chwilą
przejechał tędy konno, w mundurze. Miał trzy galo-
ny srebrne na rękawach. Powiadam: przejechał... by-
łto jednak coś więcej... Napiszę coś niedorzecznego
teraz, ale przecież, prócz mnie, nikt tego nie prze-
czyta.... Czyżby mię naprawdę zauważył wczoraj w wa-
gonie? Czy się o mnie rozpytywał? Czy wie, że tu
mieszkam? Czy się chciał popisać przedemną? Co
najmniej kwadrans pozostawał na tarasie, [pomie-
dzy pawilonem Henryka IV-go a kratą — i ka-
zał koniowi robić trawersy, ranwersy, piruety, zmia-
ny nóg, oraz wolty w miejscu. Jeśli się spodziewał
zjednać mię tem sobie, musi to być bardzo pospolity
człowiek.

— Co za niesprawiedliwość! Widzisz tu przecież...
w moim notatniku: „*próba Jowisza*”. Próbowałem go,
odkrywając świetną edukację... ale czytaj dalej...

— Czytam: Po obiedzie, powiedziałam do Jerze-
go — który pomimo lat dwunastu, bawi się ciągle oło-
wianami żołnierzami i zna się na wszystkim, co się
tyczy wojskowości, — Jerzy, co to za oficer, co
ma trzy srebrne galony na rękach? — Kapitan. —
Czy to pięknie być kapitanem? — Jak kiedy...
W dwudziestym piątym roku życia pięknie, a pięć-
dziesiątym, brzydko...

— Dwudziestym piątym... Może on trochę starszy,
ale niewiele... Babunia, która ma bystry słuch, rze-
kla do mamy: — Joasia rozpytuje się Jerzego o wo-
jskowych...

— Zaczzerwiniłam się, jak piwonია... znowu długa roz-
prawa.. Babunia przyznała się, że ma wielki pociąg
do wojskowych. a mama wykrzyknęła, że nigdyby
się nie odważyła wydać mnie za człowieka, któryby
włóczył żonę z garnizonu do garnizonu. Ciekawam, na
co piszę te wszystkie brednie? Żeby iść za radą panny
Guizard. — Zobacz... tak napisane... Twoja kolej..
ja skończyłam.

— 24-go dwa wiersze: Spotkałem w lesie tę pa-
nienkę z przeszłej środy. Bardzo jest ładna i nieźle
siedzi na koniu.

— Nic więcej?... Ależ zwięźle... Zdałby się choć
maleńki komentarz.

— Jest kochaneczko, maleńki komentarz. Masz
słuszność, moje notaty są okropnie suche. Widzisz..
gdybym się nie wstydził pisać madrygały...

— Nie wstyż się... wszakże tu niema nikogo.

— Powiedziałbym ci, że czego brak w kajeciku, to
zapisane tutaj... w sercu. Ten ranek majowy, to spo-

tkanie w lesie... dziś jeszcze, po upływie dwu lat, pamiętam wszystko, z najmniejszymi szczegółami. Byliśmy na manewrach od piątej do siódmej; na placu des Loges, wśród strasznej kurzawy. Odprowadzam mój szwadron do koszar, zostawiam konia i idę po wtórnie na Jowiszu.

— Drogi Jowisz!

— W kwadrans potem galopując w długiej alei pod górę, widzę zbliżającą się małą kawalkadę. Tyś jechała na Jenny, Jerzy na karym kucyku z Rouen, a stary Ludwik w tyle, na dużym, siwym koniu. Widzisz, pamiętam nawet maść koni. Naraz, na pięćdziesiąt kroków, doznaję olśnienia... poznaję cię i zaczynam jechać stępo. Kawalkada przemyka się koło mnie... Mam jeszcze przed oczyma twoją szarą amazonkę, czarny kapelusz i jasne loczki wijące się pod woalem. Podczas kiedyś przejeżdżała, myślałem: Nie, doprawdy, na całym świecie niema śliczniejszego stworzenia od tej panienki! A ty, coś sobie mówiła?

— Com sobie mówiła... już nie pamiętam... ale oto com napisała:

Drżącym trochę głosem, bo ją ten „maleński komentarz” wzruszył, przeczytała Joanna, co następuje:

„Spotkałam go dziś rano, niedaleko od Val... Zmierzał w naszą stronę galopem. Nagle, poznawszy mnie, zatrzymał konia, tak, poznawszy mnie... dobrze widziałam to poruszenie. Wiem, co to jest powstrzymać konia w galopie... trzeba zwalniać kroku stopniowo; tu zaś swojego konia powstrzymał gwałtownie

nie i osadził prawie na miejscu. Przejechał tuż koło nas... Nie śmiałam patrzeć nań, ale dobrze czułam, że mi się przygląda. Nie odjechał jeszcze dziesięciu kroków, kiedy ten ładny Jerzy, odezwał się: Joasiu, widziałas? Jaki był śmieszny w tem zakurzonem ubraniu! Wyglądał jak pajac! To kapitan 21-go pułku, miał nr. 21 na mundurze. Wściekła byłam na Jerzego... byleby tylko nie usłyszał!

— Usłyszałem... przypominam sobie.

— Czytaj... twoja kolej.

— Środa 25 maja. Widziałem znów moją nieznaną; mieszka w jednym z domów na tarasie. Przejeżdżałem powozikiem... Siedziała przy oknie. Spostrzegłszy mnie, zdawało mi się, że właśnie dla tego, że mię spostrzegła, odsunęła się żywo, bardzo żywo. Mój Boże! jakaż ona miluchna!

— Aa, przecież mniej sucho... jest postęp. Używasz czasowników, zaczynasz naprawdę pisać.

— Może dla tego, że zaczynam być zakochanym... ty czytaj teraz.

— 25 go maja. Siedziałam przy oknie... wtem nadjeżdża bardzo ładny angielski faeton, zaprzężony w kuca, czarnego jak węgiel. Na koźle siedział groom, z bardzo przyzwolita miną, a obok niego... kapitan. Należało mi pozostać bardzo spokojnie przy oknie, ale nie mogłam. Powiedziałam sobie: Może bym nań spojrzała i spostrzegłaby to. Zdjął mię strach i uciekłam w głąb salonu. Babunia zapytała: — Co ci to, Joasiu? — Nie, Babuniu. Jerzy, który siedział ze mną przy oknie, zawołał: — Wiesz, Joasiu, mnie

się zdaje, że ten kapitan, co przejeżdżał tym ładnym faetonem, to wczorajszy pajac.

— Tym pajacem byłem ja.

— Tak, ty... 26-go maja. Niema nic; nie a nie... O, możesz przeczytać... O tobie, ani słówka... Przy-mierzylam różową suknię; dobrze leży, ale za mało ma plisek... Kazałam dodać więcej, i t. d. i t. d. Nie mię nie zajmowało, prócz różowej sukni. Jak widzisz, nie byłam tak dalece zajęta...

— A dla mnie 26 maja jest wielkim dniem... to dzień Picot'a. Wszystkiego dwa wiersze, ale wymowne: Dałam Picot'owi dwadzieścia franków. Jest to głęboki dyplomata.

— Tu jest koniecznie potrzebny znowu komentarz.

— Dodam go chętnie. Rano, jedząc śniadanie w restauracji, odezwałem się do Dubrisay'a, włóczęgo się ciągle po lesie: — Czy nie znasz panienki, która jeździ konno z chłopaczkiem dwunastoletnim i ze starym sługą? — Poczekajno, panna ma klacz karą. — Sługa jeździ na siwym koniu, rzekł drugi. — A chłopiec na kucyku, dodał trzeci. — Tu, powstała długa rozprawa o wartości koni. Kucyk zdawał się im doskonały, a kara klacz trochę zmęczona.

— Rzeczywiście, tak było... na szczęście.

— O, tak... na szczęście! Ja im na to: nie idzie mi o konia siwego, ani o karą klacz, tylko o panienkę. Wszyscy trzech zapewnili mnie, że mają zwyczaj tylko na konie patrzeć. Dużom się dowiedział. Wracam do domu, około trzeciej, widzę Picot'a, mojego ordynansa, kręcącego się po dziedzińcu. Wołam go przez okno. To paryżanin ten Picot.

bardzo roztropny chłopiec. Mówię mu: Picot, postaraj się zreczenie dowiedzieć, kto mieszka w tym a w tym domu na tarasie... wejdzie od ulicy les Arcades. — Dobrze, panie kapitanie. — Tylko pamiętaj... zreczenie! — Dobrze, panie kapitanie. — Jeśli się czego dowiesz, to przyjdź mi powiedzieć, jutro rano, w koszarach.

— Nie bardzo było ci pilno... mogłeś kazać mu wrócić natychmiast.

— On też tak zrobił. W godzinę później przyszedł z tryumfującą miną i takim osobliwym stylem zdał sprawę, że dla zabawki, zanotowałem wszystko, jak najdokładniej.

— Dla zabawki... Co za wykręt! Powiedz lepiej prawdę... Przyznaj się, że ci było przyjemnie pisać o mnie... W takim razie może ja się także przyznam, że mi nie sprawiało przykrości pisać o... .

— Kiedy tak, to przyznaję...

— Ja także... czytaj.

— Czytam: Picot przychodzi i powiada: Panie, kapitanie, wiem już wszystko... tylko jak zacząć opowiadać, niech mi pan kapitan nie przerywa pytaniami, bo mię to zbałamuci. Całą drogę powtarzałem sobie, com słyszał, jak lekcyę, żeby niezapomnieć... Ten dom wynajęli trzy tygodnie temu, paryżanie. Sam pan, niejaki Lablinière, jest inżynierem przemysłowcem... buduje maszyny parowe, telegrafy i t. d. Jest tutaj ze świekrą, z żoną i z dwojgiem dzieci... z córką lat dziewiętnastu i z synem lat dwunastu. Proszę zaczekać... wiem nawet imiona dzieci: Joanna i Jerzy. Bogaci są, bardzo bogaci... pięć koni

w stajni, trzy powozy w wozowni, czterech służących, trzy pokojówki, Julia, Adel... ale to pewno nie obchodzi pana kapitana, jak się nazywają te dziewczęta. W Paryżu mieszkają na bulwarze Hausmanna, nr. 28. — „Jakim sposobem dowiedziałeś się tego wszystkiego, gawędząc z odźwiernym? — Nie, nie... proszę nie przerywać, bo mi się wszystko popłacie w głowie... Rozumiem, pan kapitan lęka się, czym nie był tak głupi i nie powiedział, że to on mnie przysłał... Broń Boże! Pan kapitan ciekawy, w jaki sposób Picot wszczął rozmowę... nie było w tem nic trudnego, nie mam też wielkiej zasługi... Odźwierny stał przed bramą... przybliżałem się z wolna, udając, że się włóczę bez celu, zwyczajem wojskowych. Stanąwszy tuż przy nim, mówię: Uf! jakże gorąco! — O, tak... gorąco!... — Ja znowu: Jednakże mniej niż wczoraj...” — On na to: Mamy dziś trochę wiatru...” — Lody już były przełamane... zaczęliśmy gawędzić. Właśnie kiedym go miał zapytać o to, pocem przyszedł, widzę że z krużganku, w głębi podwórza, schodzi młoda i śliczna panna... Z przeproszeniem pana kapitana... i niesie duży kawał chleba w ręku. Mówię do odźwiernego: — Czy to pańska córka?... — Nie moja... odpowiada, to lokatora.. jednego pana z Paryża. — I zaczął sypać, jak z rękawa, to wszystko, com panu kapitanowi powiedział. Jak pan kapitan widzi, nie hardzom się spracować... Ten odźwierny nie drożył się z sobą, prawil a prawil... Naraz, spostrzegłem tę paniąkę wracającą bez chleba. — Oto idzie znów córka tego pana z Paryża, powiada — codzień

chodzi do stajni z chlebem dla konia swojego... Ta panienska wstępowała bardzo powoli na krużganek, ciągle na mnie patrząc. Zdawało mi się, że jest zadziwiona tem, że mnie tam widzi. Pewno myślała: — Co ten strzelec robi tutaj?... Weszła do domu... tymczasem odźwierny ciągle ją chwalił a chwalił, że taka łagodna, taka dobra nie tylko dla koni, ale i dla ludzi. Właśnie, kiedy tu przyjechali ci państwo przed trzema tygodniami, córeczka jego chorowała; więc ta panienska... — ale przepraszam... może te szczegóły nudzą pana kapitana? — Przeciwnie... zajmują!... — To dobrze... będę mówił dalej. Otóż, jak powiadam, codzień odwiedzała tę dziewczynkę; przysłała jej rosółki i różne smaczne rzeczy do jedzenia... nawet przynosiła zabawki i cukierki... Czasami i godzinę tam przesiedziała, zabawiając dziecko powiastkami!... Kiedy odźwierny opowiadał mi to wszystko, nadeszła pokojówka, dosyć ładna dziewczyna, z przeproszeniem pana kapitana... przychodzi i pyta: — Czy няма listu do panienki? — O, nie; jak jest, to go zaraz odnoszę; panna dobrze wie o tem... Pomyślałem sobie: — Czyby nie można czego się dowiedzieć od tej pokojówki? Zaczynam więc na nowo: — Gorąco jest, moja panno... — O, tak... — Ja dalej: — Nie tyle jednak, co wczoraj... — Z nią poszło również gładko, jak z odźwiernym... rozgadaliśmy się na dobre. Dopytywała się, czy nie znam niejakego Camus, wachmistrza z 10-go pułku huzaarów... Rozmawialiśmy o tem i owem... Nagle krzyknęła: — Ach, muszę uciekać... Panienska na mnie czeka! — Pewnoby się gniewała, i łajałaby pana

Halevy. Nowelle.



nę? — Moja panienka miałaby łajać i gniewać się... nigdy w życiu! Na świecie całym niema lepszej istoty od mojej panienki!

— Czy to już wszystko?

— Tak... wszystko.

— Więc kazałeś mnie szpiegować?

— Nie inaczej... ale proszę o twój opis z 26-go,

— Oto jest: *Wtorek 27 maja*. Wczoraj popołudniu niosłam chleb dla Nelly... Schodząc z krużganka widzę, że jakiś wojskowy rozmawia z odźwiernym. Bawiłam pięć minut w stajni; wyszedłszy ztamtąd, patrzę... jeszcze stoi. Idę na górę do mego pokoju i zastaję tam Julię. Ach, jak nas ciekawość opanuje, okropność, co się dzieje z nami! Powracam do Julii: — Spodziewam się listu z Paryża... idź zobaczyć, czy go niema u odźwiernego... Idzie, czekam... nie wraca. Udamę się do garderoby, w której okno wychodzi na podwórze. Widzę Julię rozmawiającą z tym wojskowym. Nareszcie powraca... — Niema listu, panienko... — Bardzo długo bawiłaś... — Ależ nie, panienko... — Owszem, widziałam cię... rozmawiałaś z huzarem... — Z huzarem, o nie!... — Kiedyś cię widziałam... — Nie rozmawiałam z huzarem... to był żołnierz od strzelców... jest również w mundurze: huzarzy mają szamerowanie białe a strzelcy czarne; u huzarów kołnierz jest taki sam jak dolman, a u strzelców czerwony... — Zkąd ty wiesz to wszystko, Julio? — Mam kuzyna w huzarach, panienko. Tu, w Saint-Germain, niema huzarów... są tylko strzelcy... dwa pułki: 21-szy i 22-gi, które stanowią brygadę. Ten żołnierz, co tam stał, byłto strzelec z 21-go

pułku. — Z 21-go!, z *jego* pułku! Ta moja rozmowa z Julią pociągnęła za sobą przykre następstwa. Około 6-tej, idziemy się przejść z mamą po tarasie: Spotykamy dwóch oficerów od strzelców!.. Mama powiada: — Ładne mają konie ci huzarzy... — To nie huzarzy, mamó... odpowiadam niebacznie... — To strzelcy. Huzarzy mają szamerowanie białe, a strzelcy czarne; u huzarów kołnierz jest taki sam jak dolm...

Nie dokończyłam... Patrzę na mamę... Zdumiona była! — Zkąd ty wiesz to wszystko? — Od Julii. Ona ma kuzyna w huzarach i cieszę się kiedyś... — Osobliwy przedmiot do rozmowy... powiedziała mama...

Nie mówiłyśmy więcej, ale się nie skończyło na tem. Papa powraca z Paryża... siadamy do stołu... opowiada nam, że się spotkał w wagonie z oficerem... Gdyby to był on!... Pułkownik, to nie on!... Papa spędził cały miesiąc przeszłego roku w Caunterets; grywali tam z sobą w wista, a teraz odnowili znajomość. Będzie u nas na obiedzie w przyszłą środę, 4-go czerwca.

Powiadam do papy: Czy pułk tego pana jest tu, w Saint-Germain? — Tak, jest tutaj. — 21-szy czy 22-gi? — Alboż tu są dwa pułki?... — Tak papo... 21-szy i 22-gi... stanowią brygadę... — Papa jeszcze bardziej zdumiał od mamy... — Któż ci to wszystko powiedział?... — Julia... ona ma kuzyna w huzarach... — Nie nie rozumiem tego... odzywa się mama, od niejakiego czasu, Joasia rozprawia tylko o strzelcach i huzarach... — Może

jej wpadł w oko jaki piękny oficer... rzekła babunia.

— Zaczewieniłam się jak piwonja i odpowiedziałam niecierpliwie, prawie gniewnie. Zaczynam mieć żal do tego pana, którego nie znam i niepoznam nigdy. Tak, mam do niego żal, bo mąci mi życie. Dla czego tak patrzył na mnie, w wagonie? Czemu przed moimi oknami próbował konia? Dla czego parę dni temu, spostrzegłszy mnie, zaczął jechać stępo? Jeśli się spotkamy jeszcze kiedy, a poznam go, zaraz zacznę galopować... Niestety, mojej biednej Nelly jużby to z trudnością przyszło... starzeje się!.. To też papa kupi mi innego konia na urodziny. Chciałabym wiedzieć, czy to *jego* pułkownik będzie tu na obiedzie, we środę, 4 go czerwca.

Był to ostatni frazes buletynu z 27 go maja.

Przejrzała potem z dziesięć stronnic w kajeciku.

— Od 28-go maja do 3-go czerwca, nie ma nic o tobie... nie a nic...

— A tu... ani słówka o tobie!.. — odpowiedział mąż. — Ale bo też nie mieliśmy szczęścia widzieć się w ciągu tych ośmiu dni. Nie było mnie w Saint-Germain... odjechaliśmy w dwudziestu oficerów z całej brygady, z generałem i z pułkownikami na manewra, pomiędzy Vernon i Rouen. Zabrałem był z sobą Jowisza i notatki moje z owego tygodnia spędzonego w podróży, są pełne pochwał dla nowego konia: *Jowisz jest bez zarzutu.. silny, ognisty, i nie płochliwy... wczoraj pułkownik jeździł na nim i bardzo był zadowolony i t. d....* 3-go czerwca, o 8-mej wieść, powróciliśmy do Saint-Germain, a 4 go czer-

wca... Nie zapomniałem o tobie... patrz, o tu... czy ją też zobaczę... tę małą blondynkę z tarasu?

— A tu, mój 4-ty czerwca: Już wiem, jak się nazywa. Był dziś u nas pułkownik na obiedzie... przyjechał o 7-mej... Zaraz spojrzałam na jego mundur... Widzę cyfrę 21... To *jego* pułkownik!

— Podczas obiadu, rozmowa była nieznacząca; ale później, gdy podawała kawę, papa rzekł: Pułkowniku, może będziesz mógł oddać mi przysługę? Chciałbym nabyć konia dla tej oto panienki... Jeśli wiesz o dobrym, łagodnym... — Nie potrzeba zbyt łagodnego, pułkownik, odzywam się, ja dobrze jeżdżę konno (i to prawda, bardzo dobrze jeżdżę)... — Poszukam, rozpytam się... odpowiedział pułkownik. Ach jeden z moich oficerów ma konia, który byłby dla pani w sam raz. Jeździłem na nim parę dni temu... doskonały. — Gdyby mi go chciał odstąpić za dobrem wynagrodzeniem... odezwał się papa... — O, temu oficerowi nie będzie wcale chodziło o pieniądze; on jest bogaty, bardzo bogaty... To kapitan, pan de Léonelle... — Kapitan i bardzo bogaty?... zawołał Jerzy. — Może to ten oficer, któregośmy widzieli w tych dniach jadącego angielskim wózkiem z karym kucem?... — To ten sam... — O, my go dobrze znamy, oboje z siostrą... Spotkaliśmy go kilka razy...

— Czuję, że mi twarz pała, zupełnie pała... Pułkownik patrzy na mnie... Muszę być karmazynowa... on to spostrzeże... Odchodzi o 10-tej i żegnając się zemną, powiada: Rozmówię się jutro z panem de Léonelle, ale wątpię, czy co wskóram, bo on uwiel-

bia swojego konia... — Na tem rzeczy stanęły!... Czy odkupię od niego konia? Papa otworzył mi kredyt na 3,000 franków.

— Zbliżamy się do dnia stanowczego... do posiedzenia u fotografa.

— I do pierwszej wizyty twojej... Zaczynaj.

Przedział pomiędzy nimi zmniejszył się... przyszła usiąść nie na kolanach, ale na poduszce u jego nóg i podczas gdy czytał, pieszczotliwie opierała głowę na jego kolanach; korzystając więc z dogodniejszego niż jej, położenia, kapitan zaczął całować żonę z niejaką żywością... odsunęła się... ale nie odrazu...

— Kończże.. powiedziała — kończ i zaczynaj...

Zaczął więc:

— *Czwartek 5-go czerwca.* Dziś rano po manewrach, wracaliśmy stępo wzdłuż alei des Loges.. adjutant wzywa mię do pułkownika. Przystępuję doń na czele kolumny. — Kapitanie... powiada, czybyś czasem nie chciał sprzedać swego konia? — Bynajmniej, panie pułkowniku... — Nawet za dobrem wynagrodzeniem?... — Nawet za dobrem wynagrodzeniem... — Służyłby bardzo ładnej osobie, która cię zna... — Która cię zna?... panie pułkowniku?... — Tak, spotkała cię kilka razy, widziała cię na tarasie... Słowem, widocznie zna ciebie... a nawet, zdawało mi się, jakem wczoraj wymienił twoje nazwisko, że się zarumieniła po uszy. — Któż to taki, panie pułkowniku? — Córka inżyniera Lablinière. — Blondynka, panie pułkowniku? — Tak, blondynka... — Która mieszka w jednym z domów na ta-

sie?... — Ta sama... a widzisz że ją znasz... — Tylko z widzenia, panie pułkowniku... — Zastanów-że się, czybyś nie mógł ustąpić konia tej ładnej blondynce... Do widzenia, kapitanie...

— Sprzedać Jowisza? komu innemu nigdy! A jej?... waham się... Taka ładna! Zarumieniła się, usłyszawszy moje nazwisko... Przyśniło się pułkownikowi... Dla czego by się zarumieniła... dla czego? Moja siostra Ludwika przyjedzie o 11-tej... będzie u mnie z dziećmi na śniadaniu. To jarmark w Saint-Germain, więc dziatwa chce obejrzeć krowy... — Mój wuju, jeśli będzie fotograf, to każesz odbić nasze portrety... — Bardzo chętnie.

— Jest właśnie fotograf... wchodzimy do jego altany... ona tam jest!... z braciżkiem, z matką i z dużym, czarnym pudlem. Brat, klęcząc na ziemi przy czarnym pudlu, usiłował go nakłonić żeby leżał spokojnie. — Bob, nie ruszaj się... to o twój portret chodzi!..."

— Ale Bob nic sobie nie robił z próśb chłopca, który zniechęciwszy się nareszcie, rzekł: — Przemów ty, Joasiu... przemów... on ciebie tylko słucha. Mów po angielsku, on daleko lepiej rozumie po angielsku niż po francuzku... — Ależ daj pokój, Jerzy... śmieszny jesteś... — Joasiu, moja droga Joasiu!...

— Skłania się do jego próśby i patrząc na pana Bob bardzo surowo, mówi: — „Now, Bob, Master Bob, be obedient, look at me! so... Now be still... Hush!... Still!...” Widoczną ma przewagę nad tym czarnym pudlem, bo on siedzi spokojnie. Śliczny jej

głos, a twarz!... przyjrzałem jej się do woli i w pełni światła. Cudo wdzięku i młodości!...

— Czekajno, pokaż...

— Dla czego?

— Zawsze mi się zdaje, że co zmieniasz.

— Mylisz się, patra...

— Prawda... widzę... „Cudo wdzięku i młodości”
dobre... czytaj...

— Czytam.

— Dostanie Jowisza! odchodząc, powiedziała do mojej siostry: (zdawało mi się, że trochę wzruszonym głosem) — Bardzo przepraszam, że pani z mego powodu czekała... Powinienem był się odezwać, ale mi nie przyszło do głowy. Zgłupiałem zupełnie... Ukłoniłem się... ona lekko skinęła główką... i wyszła z altany fotografa. — Jakież to zachwycające dźwięcz!... powiedziała moja siostra... Spodziewam się że zachwycacie!...

— Tegom tylko czekał... Zaraz opowiedziałem siostrze, jak się nazywa, gdzie mieszka... że ojciec jej jest znakomitym inżynierem i t. d. Czułem potrzebę mówić o niej... Siostra zdumiała... — „Ale ty zakochany!... — Zakochany, nie!... — Owszem, jesteś zakochany... trzeba się będzie rozpytać... Miałabym z niej bardzo ładną bratową...

— Odprowadzam Ludwikę na kolej. Nie, nie jestem zakochany... ale... dostanie Jowisza! Jedną mam tylko obawę... tak... w katalogu Chéri'ego stoi: „*chodzi pod siodłem damskim*”. Ale wskazówkom katalogowym nie można dowierzać... Biedactwo! gdyby ją miał spotkać jaki wypadek! Moja siostra często

się zjawia w Saint-Germain, żeby się zemną przejechać konno; powiedziałem więc Picot'owi: — Włóż siodło damskie na Jowisza i poprowadź go do ujeżdżalni... Zabierz z sobą derę.

— W kwadrans potem kazałem mu usiąść *po damsku* na Jowiszu, obwinąwszy mu nogi derą, dla zastąpienia amazunki. Jowisz puszcza się galopem: — Ach, panie kapitanie, doskonale idzie... Widać, że na nim jeździły damy...” wołał Picot.

— Chcę sam spróbować... Siadam więc po damsku z kolanami obwiniętymi derą, jedziemy to truchtem, to galopem; a cały czas myślę: — Czyż to podobna, żebym tu jeździł w taki śmieszny sposób, z tego tylko powodu, że przed dwoma tygodniami spotkałem w wagonie jakąś blondyneczkę, czytającą romans angielski.

— Widzę, że Jowisz z pewnością umie nosić damy... Dostanie Jowisza!... Tak, ale w jaki sposób wziąć się do rzeczy? Najwłaściwiej byłoby oddać go pułkownikowi do rozporządzenia. Nie, sam do niej pójde... natychmiast! Idę... a Picot za mną prowadzi Jowisza, Przybywamy... wchodzimy na podwórze... Spoglądam na Picot'a... złośliwą ma minę. Snać mówi sobie: — Włóż — to dla tego posyłał mnie kapitan na zwiady...

— Dzwonię. — Czy zastałem pana Lablinière? — Pan jest w Paryżu. — A pani? — Pani jest w domu. — Proszę oddać moją kartę i powiedzieć, że chciałem się porozumieć co do konia...

— Służący idzie mnie zameldować. A jeśli jej nie będzie! Wchodzę... Jest! z matką, babką, bratem

i z czarnym pudłem... Co się potem działo, nie wiem. Musiałem być idiotycznie głupi. Jak przez mgłę przypominam sobie, że była mowa o wędzidłach i tym podobnych rzeczach. Podobno jej też powiedziałem, że mój koń nazywa się Jowisz. Na odchodnem prosiłem, żeby go zatrzymała, dla wypróbowania, cały tydzień, choćby i dwa... Trzeba też było mówić i o cenie... Słowa więzły mi w gardle... ale przecież nie mogłem jej darować Jowisza. Będę musiał wziąć od niej pieniądze. Zeszliśmy na podwórze i tam, przy Jowiszu, prowadziłem znowu niemniej śmieszną i niedorzeczną rozmowę, jak w salonie. Miałem gorącą chęć powiedzieć tej ślicznej istotce: — „Aniele uwielbiam cię!” a mówiłem: trzeba dawać koniowi 10 litrów owsa i t. d. Trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia bredziłem. Przypominam sobie teraz, że jej powiedział: — Temu koniowi potrzeba lekkiego jeźdźcy, więc u pani będzie mu lepiej niż u mnie... Musiałem na niej zrobić szkaradne wrażenie podobnymi frazesami. Odszedłem nareszcie z Picot'em, a tak miałem zawrócić głowę, iż całą drogę z nim rozmawiałem, żeby mówić o niej. Serce mi rosnęło, gdy powiedział: — Ta ładna blondynka dziwnie mi się przygląda. Musiała mnie poznać. Co prawda, dobrze mi się przyjrzała wtenczas kiedym to chodził zasięgnąć języka. To ta sama ładna blondynka, panie kapitanie, co była taka dobra dla tej chorej dziewczynki odźwiernego.

— Poczciwy Picot! Po części on nas skojarzył.

— Rzeczywiście, on pierwszy mi przyniósł zachęcające wieści.

— A ja, choć mię nie dochodziły „zachęcające wieści”, zaczynałam cię już kochać... bez „zachęcających wieści...” Posłuchaj... sam osądzisz...

— *Czwartek 5 go czerwca.* Wypadki szybko po sobie następują... jak się też skończy? Mam jego konia... nazywa się Jowisz. Jest tu, w naszej stajni pomiędzy Nelly a kucykiem Jerzego... Postaram się zaprowadzić trochę ładu w mojej biednej głowie... Co tu rzeczy w ciągu jednego dnia! Jerzy powiedział do mnie, po śniadaniu: — „Siostrzyczko, wiesz, że mamy dziś pójść do fotografa jarmarcznego, żeby robił portret Boba...” — „Możesz pójść z mamą, bezemnie”. — „Jak ciebie tam nie będzie, to Bob nie usiedzi spokojnie...”

— Poddaję się konieczności, idziemy, — w chwili kiedy Bob ma pozować, widzę, że wchodzi do altany... kto taki?... On!... i nie sam... z kobietą, młodszą i śliczną. Co to za dama? Ale jest i dwoje dzieci. Nazywają go wujem... To jego siostra!... Jerzy nie mógł sobie dać rady z Bobem; musiałam więc odegrać wobec niego śmieszny scenę. Pewnie wydałam mu się głupiutką. Przemawiałam do Boba po angielsku; wyglądało to, jak gdybym pokazywała uczonemu psa... Uciekłam zarumieniona ze wstydu i pomieszania. Wracam do domu w rozpacz. Zamykam się w moim pokoju... Jednakże o piątej trzeba będzie zejść na herbatę.

— Schodzę na dół. Zaledwie weszłam do pokoju, Piotr przynosi kartę wizytową... — Któż-to taki?.. pyta mama. — Oficer, kapitan od strzelców... — Kapitan od strzelców! Nie znam żadnego kapitana

od strzelców. Wyjechałam na wieś, żeby użyć spokoju, a tu mi żołnierze napastują dom. Wczoraj był pułkownik, dziś znowu kapitan! Jutro zbierze się cały pułk! Czegóż on chce, ten kapitan?... — Powiada, że się przyszedł rozmówić względem konia... — Przeczytaj-no tę kartę, Joasiu... Co ci jest? Jakaś czerwona!... Krew uderzyła ci do głowy?... — Nie, mamo... — Przeczytajże... — Biorę kartę i czytam: „Hrabia Roger de Léonelle, kapitan 21-go pułku strzelców... — Hrabia! On jest hrabią! Tego tylko brakowało! — Léonelle! woła Jerzy, — ależ to ten oficer, co ma konia dla Joasi. — Prawda.. powiada mama — pułkownik wymieniał wczoraj to nazwisko... a tu ojca niema w domu.. Trudno, trzeba przyjąć tego pana... Poprosz go, Piotrze... Tylko ty, Joasiu, rozmów się z nim, bo jak widzisz, wcale się nie znam na rzeczach dotyczących się koni... —

— Otwierają się drzwi... To był on!... Wechodzi, kłania się, a mama po jakimś frazesie dosyć uprzejmym, który jednak mógł być jeszcze grzeczniejszym, powiada do mnie: — Joasiu, to idźcie o konia dla ciebie... porozumiejże się z tym panem... Cały ciężar rozmowy spadł na mnie! On był zachwycający... taki taktowny, greczny, naturalny... a ja wyglądałam jak idyotka... czułam, że jestem skołowaciała, nieprzytomna, odurzona... Spróbuję przypomnieć sobie szczegóły tej rozmowy, która musiała mu dać niekorzystne o mnie wyobrażenie... Siedzieliśmy o dwa kroki od siebie... ja na szczęście, byłam odwrócona od światła. — „Pułkownik wspominał mi dziś rano, że pani potrzebuje konia...“ — „Istotnie, papa chce mi obdarzyć koniem na urodziny... —

— Jakież-to było głupie z mojej strony! Poco mu to powiedziałam? Ale bo nic innego nie przychodziło mi do głowy... Z pomieszaniem mówiłam, co mi ślina przyniosła na język. — Mogę pani słuszyć koniem, który spodziewam się, że się pani podoba. — Dziękuję panu, ale pułkownik powiedział wczoraj, żeś pan bardzo przywiązany do swego konia, więc bym nie chciała... — Doskonały jest koń i dla tego ośmielam się proponować go pani, ale dla mnie trochę za szczerpy... mały ciężar będzie odpowiedniejszy... —

— Kłamał, bo pułkownik jeździł na tym koniu i bardzo mu się podobał... a kiedy pułkownika udźwignął... on niemało waży, ten pułkownik... To olbrzym! Mały ciężar będzie dla niego odpowiedniejszy. Jakież to miłe słówka i w jak delikatnej, przyzwoitej formie wypowiedziane! Trzeba dobrze wniknąć w ducha tego frazesu... Miało to znaczyć... „Pani jesteś powiewna i lekka jak piórko, jak ptaszek!... — Nasze zajęcie bywa czasem bardzo uciążliwe... dodał — u pani ten koń będzie szczęśliwszy. — Będzie szczęśliwszy u pani!! Śładko, prawie tkliwie wymówił te słowa. Był to delikatny sposób powiedzenia: — Niemożna nie być szczęśliwym przy pani. Wszyscy muszą być szczęśliwi, nawet konie!... Trudno sobie wyobrazić coś złeniejszego, delikatniejszego!

Nagle, przerwała Joasia czytanie, mówiąc.

— Wieceś ty sobie nie zdawał sprawy z tych miłych słówek, coś mówił?

— Nie.

— Czyś przynajmniej naprawdę tak myślał?

— Myślałem tak, naprawdę.

— To główna rzecz... czytam dalej:

— A ja, zamiast podziękować, odpowiadam sucho: A więc... przyjmuję. Kiedyś będę mogła wypróbować konia? — Jużem go przyprowadził... jest tutaj... zostawię go... Może go pani zatrzymać tydzień cały, choćby i dwa, dla wyprobowania. Konia trzeba długo próbować. — O, pan jesteś zbyt grzeczny. Jutro przejadę się na nim, a potem papa przyniesie panu odpowiedź. — Bądź pani łaskawą zatrzymać go przynajmniej dwa lub trzy dni, zanim się namyślisz. Wcale mi się nie da uczuć jego brak. — Niechajże i tak będzie... jestem panu bardzo wdzięczną...

— Wstaje, kłania się i chce wyjść .. Wtem mama powiada: — Ależ, Joasiu, zapominasz o ważnej rzeczy... o cenie konia..."

— Ach, ja mamę bardzo kocham, o, bardzo! ale przez ćwierć sekundy, nie dłużej... nienawidziłam ją! Jednakże mama miała słuszość; może ten koń wart cztery albo pięć tysięcy franków... W takim razie mój budżet nie pozwoliłby... Ale być zmuszoną mówić z nim o tej nieszczęsnej i nikczemnej kwestyi pieniężnej! byłam przerażona! Powiadam mu: — Ach, prawda, nie mówiliśmy jeszcze o cenie...

— Na szczęście, przyszedł mi w pomoc, mówiąc: O, to nie jest drogi koń. — Ale bo papa daje mi tylko trzy tysiące franków. — Trzy tysiące franków!... on nie jest wart tyle... Zapłaciłem za nie-

go tylko tysiąc dziewięćset franków, a kto się zdobywa konia, to zawsze musi coś stracić!...

— Wtedy pomyślałam sobie: ależ on mnie kocha! on mnie kocha! chce mi sprzedać ze stratą, tego konia, którego tak lubi, aby mi się tylko przysłużyć...

— Zmieszana, odpowiadam: — O, co to, to nie! Musisz pan mieć choćby mały zysk! — To bardzo wielki zysk, oddać pani przysługę. Byleby się pani podobał koń, to się łatwo z ojcem pani porozumie-my o cenę... Tu, uklonił się wszystkim do koła: babuni, mamie, mnie, Jerzemu i Bobowi. Już miał odejść, ale się jeszcze zatrzymał na progu... widocznie żał mu było oddalić się.

— Tak, to prawda.

— Powiedział mi, że chciałby jeszcze objaśnić stan-greta, w jaki sposób siodłać konia i jakie wędziłło dla niego najodpowiedniejsze! Wtedy babunia... doskonale znalazła się babunia!... Ale bo też babunia nie jest taką jak mama... Niema nienawisści do wojskowych. Doskonale się więc znalazła, mówiąc: Zejdźmy na dół, z tym panem, Joasiu; zobaczymy konia. Ludwik musi być na podwórzu.

— Zeszliśmy... Babunia, Jerzy, Bob, on i ja, Żołnierz od strzelców trzymał za uzdę konia osiodłanego dla damy. Widząc moje zadziwienie, rzekł kapitan: — Mam siodło damskie dla mojej siostry, która odbywa czasem przejażdżki w Saint-Germain. Ponieważ za nic w świecie nie chciałbym narazić panią na przypadek, poprowadziłem przed chwilą konia do naszej ujeżdżalni, gdzie się kazał ordy-

nansowi mojemu przejechać na nim, po damsku. — Patrę na ordynansa: to ów strzelec, co tu był parę dni temu i rozmawiał z odźwiernym. Poznał mnie, ja jego również. Czerwienię się strasznie, kapitan także zarumienił się trochę. Musiał zmiarkować, żeśmy się nawzajem poznali z tym żołnierzem...

— Ale to jeszcze nie... ordynans mówi: — „Pan kapitan także jeździł po damsku, obwinęty w dery, zamiast amazonki... Chciał sam konia wypróbować...

— W tej chwili kapitan tak się zaczerwienił, a ja tak zbładłam, że ordynans umilkł, lękając się, czy nie powiedział głupstwa. Wzruszona do łez, bąkałam: — Ach, jaki pan dobry... jaki pan dobry...

— On, ze swej strony, powtarzał: — To bardzo naturalne... to bardzo naturalne!...

A babunia, jako domyślna osoba, patrzyła na nas swemi małemi oczkami, które są zarazem bardzo łagodne i bardzo przenikliwe.

— Na szczęście, Ludwik się zjawił. Nie było go na podwórzu... Jerzy poszedł po niego. Przy Ludwiku, rozmawialiśmy jeszcze trochę... ale nie wiem o czem. Podobno objaśniał nas, że trzeba koniowi nakładać bardzo lekkie wędzidło. Był tak dobry, że nawet mówił, co koniowi dawać jeść: tyle owsa, tyle słomy, tyle siana. Potem uklonił się nam i chciał odejść. Przystąpiłam o krok bliżej. Zatrzymał się. Chciałam koniecznie coś grzecznego mu powiedzieć; ale dawało mię waruszenie i nie wiedziałam, z czemby się odezwać. On czekał i powtarzał: — Pani... pani... Było to nieznośne położenie. Należało przemówić bądź co bądź, a mnie to tylko przyszło na myśl: —

Przepraszam pana... jak się nazywa ten koń? — Jowisz... — Dziękuję panu... — Pani...

— I odszedł ze strzelcem, który dźwigał na barkach siodło damskie. Ten żołnierz nazywa się Picot. Jerzy wchodzi do stajni z Ludwikiem. Zostaje sama z babunią, która powiada: — Joasiu, chodźmy się przejść trochę po ogrodzie... Tam na ławce wyspowiadała mnie babunia. Opowiedziałam jej *wszystko*, to jest: *nie*; bo niema *nie*; a jednak to *nie* jest *czemś*. Babunia rzekła: — Mała waryatko, mała waryatko! Nie nabijaj sobie głowy... — Ja sobie nie nabijam głowy, Babuniu. Wiem doskonale, że to wszystko jest przypadkiem, prostym przypadkiem... Babuniu, nie mów o tem ani słówka mamie... wyśmiałaby mnie tylko... Zresztą, mama nie jest taką, jak babunia... Mama nie cierpi wojskowych... — Jak to, więc ja?... — Tak, babuniu, ty ich lubisz i nieraz sobie myślałam: — Czyby też to sprawiło babuni przykrość, gdybym wyszła przypadkiem za wojskowego... — Wracamy do pokoju. — Nakoniec jesteście, powiada mama, ale wytłomaczcie mi, co się dzieje. Podobno podwórze jest pełne żołnierzy. — Wcale nie, mamu, był tylko... ten pan i jego ordynans. — Jego ordynans! Mówisz teraz koszarowym językiem. — Mamu, ja przed chwilą usłyszałam tę nazwę. — Co prawda, ten pan wydaje się bardzo przyzwoitym... powiedziała mama. Może tego niezauważyła na karcie... patrz on jest hrabią... — Hrabia?... — Tak, przecież widzisz... — Nie spostrzegłam tego... (bezczelne kłamstwo!). Mama bardzo zmiękła. Moja kochana

mama — to doskonałość... ale ma jedną słabośćkę... byłaby uszczęśliwioną, gdybym została markizą albo hrabiną. Ja nie przywiązuję wiele do podobnych rzeczy... Z pewnością nie pokochałabym za to człowieka, któryby mi się nie podobał... no, ale z drugiej strony, nie przeszkodziłoby mi to kochać tego, coby mi się wydawał sympatyczny...

— Skończyłaś?

— Już... i spodziewam się, że dosyć tego było, jak na jeden dzień. Twoja kolej...

— *Piątek 6-go czerwca.* Trzeba być delikatnym... Nie pojadę do lasu ani na taras... będę czekał.

— *Piątek 6-go czerwca.* Jeździłam dziś rano na Jowiszu i nieźle mi poszło, jak mi się zdaje. Jest to cudo nad cudami! Babunia jeszcze spała, gdy mi się wybrała z domu. Powróciwszy, weszłam do jej pokoju na dzień-dobry. Pisała... ponieważ otwarcie drzwi nie zwróciło jej uwagi, chcąc jej zrobić niespodziankę, zakradłam się z zienacka...

— Widać, że to jest twoim zwyczajem...

— Babunia pisała list, zaczynający się od słów: „*Mój kochany Generale!*“ Tyle tylko zobaczyłam, bo go natychmiast schowała. Przypominam sobie, że babunia zna jakiegoś generała, zajmującego piękne stanowisko w ministerium wojny. Dla czego babunia odezwiała się doń dzisiaj? Co ważniejsza, dla czego schowała list? Po obiedzie, była mowa o koniu; papa dopiero południowym pociągiem wyjedzie jutro; rano zaś wybiera się do pana de Léonelle.

— Otwierają się drzwi i wchodzi pułkownik, naturalnie, że znowu się wszczynają rozmowa o koniu

i o jutrzejszych odwiedzinach. Papa powiada, że jeśli nie wyjedzie rannym pociągiem, to mu się po krzyżują wszystkie plany. — Nie róbże pan sobie tego kłopotu... rzekł pułkownik... — Ja sam zobaczę się z nim i załatwię tę sprawę. Co się tyczy ceny, żąda on tysiąc dziewięćset franków. Rozumie się, że nie chce na tem zarobić... Dowiedziawszy się, że pozostaję w przyjaznych stosunkach z domem państwa, pragnął mi wyświadczyć grzeczność... założyło mu na tem, żeby oddać przysługę swemu pułkownikowi... Teraz możecie go państwo zaprosić na obiad, za jakie dwa tygodnie... Prawdopodobnie odmówi, bo to odludek... nigdzie nie bywa, wieczorami zamyka się w domu, żeby pracować... nie z obowiązku, ale dla siebie, dla własnej przyjemności.

— Oto na czem stało. Czy odmówi? Nie przypuszczam. — Czy mu chodziło tylko o wyświadczenie przysługi pułkownikowi? I temu nie wierzę.

— *Sobota 7-go czerwca.* Zsiadamy z koni o wpół do dziewiątej, na podwórze koszarowem... wtem przystępuje do mnie pułkownik dziękując za przysługę. Myśli, że dla niego przystałem na... Co do ceny, porozumieliśmy się w kilku słowach. — Zdaje mi się, rzekł pułkownik, że cię zaproszą, za jakie dwa tygodnie na obiad, ale nie lękaj się... możesz odmówić; powiedziałem, żeś odludek... — Ależ panie pułkowniku... — Albo to nie prawda, odrzucasz wszystkie zaproszenia. — Możemy tego nie odrzucić, panie pułkowniku. — Tak?... widać, że cię zrozumiał. Oddajesz za cenę kosztu konia war-

tnącego co najmniej tysiąc talarów, chociaż w pierwszej chwili za nie w świecie, nie chciałeś się go wyrzec... ta blondyneczka ma ładne oczy. — Prawda, panie pułkowniku, nie taję, że mi się wydaje prześliczną!

— Wymknęło mi się to... tak lubię o niej mówić... Mieć w Picot'cie jedynego powiernika, to trochę za przykro!...

Wzywają pułkownika z powodu sobotniego raportu... Podczas gdy deżurny szwadronista zdawał sprawę z ważnych zajęć dnia wczorajszego, jako to: *że taką to klaczkę kopnięto nogą, że taki to żołnierz nie stanął do apelu wieczornego, taki to koń został ukąszony i t. d.*, pułkownik ciągle spoglądał na mnie z drwiącą miną, kręcąc swe długie szpakowate wąsy. Po skończonym raporcie rzekł przechodząc koło mnie: — Co się to zrobiło z tego dzikiego odludka... zaczyna być towarzyskim, sprzedaje nawet swoje konie... z miłości!...

Nieoszaczany człowiek z tego pułkownika, ale straszny gaduła! Cała brygada wkrótce się dowiś o mojej tajemnicy.

— *Sobota 7-go czerwca.* To okropne! Przysnił mi się wczoraj! Tak, do tego już doszłam! Pan Gambetta płatał mi się także po głowie, bo ciągle o nim mówiono przy obiedzie.

A więc był generałem głównie dowodzącym... nie pan Gambetta, nie... pan de Léonelle. Stał na czele całej armii francuskiej i odniósł wielkie zwycięstwo. Pan Gambetta przybliżywszy się doń, powiedział. — Byłeś Bonapartem; bądź Napoleonem!

Pan Gambetta chciał mu włożyć koronę na głowę; ale on, z pełną wdzięku skromnością, odrzekł: — Nie, nie, dosyć mi tego, żem Bonaparte; nie dbam o to, by zostać Napoleonem...

Pan Gambetta odpowiada: — Bardzo dobrze... władza przy mnie pozostanie...

Jakaż to głupia rzecz... sny... i jak głupio pisać podobne rzeczy...

W ciągu dnia jeździłam na Jowiszu, ciągle budziłam wnie podziw. On się nie pokazuje... pewna jestem, że przez delikatność. Po obiedzie znowu się zjawił pułkownik. Mama posłyszawszy o tem, zrobiła minkę, która miała znaczyć: — Jakiś znowu ten wojskowy! — Pułkownik oznajmił, że sprawa z Jowiszem załatwiona za tysiąc dziewięćset franków. Uważałam, że się potem brał na różne sposoby, żeby wyprowadzić papę na cygaro, do ogrodu. Mija kwadrans. Mama się niecierpliwi: — Co też tam ojciec może robić z tym pułkownikiem? Zakatarzy się, bo wyszedł z gołą głową. Zanieś mu kapelusza i namów, żeby wrócił do pokoju... — Dobrze mamo... wchodząc do ogrodu, słyszę słowa pułkownika: — „*To perła; powiadam ci, że to perła*“. Potem znów: Cicho!... ostrożnie!... Zaczynają mówić o czem innem. A! tego już za wiele. Czyby się oświadczył już o moją rękę hierarchicznie, za pośrednictwem swego pułkownika? Więc to się tak załatwiają podobne sprawy w kawaleryi? Jakośby to było za prędko... po jednym widzeniu, w ciągu którego mówiliśmy tylko o sianie, słomie i owsie!

Pułkownik i papa wrócili do salonu. Pułkownik odszedł... Papa zdawał się zamysłony. O 11-tej, kiedym mu życzyła dobrej nocy, przed udaniem się na górę do swego pokoju, wziął mnie za obie ręce: i rzekł: — Zadowolona jesteś z konia tego pana? —

— O, bardzo... Żebyś wiedział, Papo, jak przepadam za moim Jowiszem!... przepadam za nim!!... Zda je mi się, że w tych słowach było za wiele ognia, zapału, uniesienia. Co chwila, boję się zdradzić. Jak mówię o koniu jego, to mi się zdaje, że o nim mówię! A ta perła, kto jest tą perłą? on czy ja? —

— Niedziela 6-go czerwca. Oto list, jaki odebrałem dziś rano od mojej siostry: — „Jestem na wpół żywa... w przeciągu dwu dni oddałam czterdzieści wizyt. Wszędzie starałam się wsunąć te słówka: Czy państwo nie znacie czasem rodziny Lablinière? Otrzymałam pięć czy sześć odpowiedzi, a wszystkie — zupełnie zadawał-niające. Są to ludzie bez zarzutu; przytem mają duży majątek, co nigdy nie zawadza, ale bardzo uczciwie nabyty. O pannie jednogłośnie mówią, że to anioł! Śmiało więc, naprzód kapitanie, idź za popędem serca!“

— Oslupiałem, więc to widocznie, żem zakochany? Moja siostra spostrzegła się. — O szóstej nadszedł bilecik od ojca jej. Zaprasza mię na obiad w przyszłą środę, 11-go czerwca. Pułkownik mówił: za dwa tygodnie. Czy zaraz odpowiedzieć? Nie, dopiero jutro.

— Niedziela 8-go czerwca. Schodzę dziś rano na dół... listonosz tylko co odszedł i paka listów leży na tacy w przedpokoju. Czy są i do mnie? Nie, ale jest jeden — do babuni. List urzędowy, z pieczęcią

czerwoną. Na pieczęci czytam: *République française, Ministère de la guerre, Direction du personnel*. Pomyśleć tylko że mój los zawiera się tam, w tym liście! Pewna jestem, że babunia zasięgała wiadomości... Nie wątpię o tem! Jeden ze służących przeszedł, a ja uciekłam jakby złodziejka. Dziesiąta godzina. Babunia musiała się już obudzić. Pewno przeczytała list do tej pory. Idę do niej, na górę: — A, jesteś... maleńka!... Jakoś się zdaje uradowana babunia. Ścisła mnie czule, czulej niż wykle. O, zadowolona z czegoś babunia! Znać to, choćby z tych uścisków rannych. Ucieszył ją list od tego generała...

— Niedziela dzisiaj; papa nie pojechał do Paryża. Po śniadaniu babunia powiada do niego: — Miałabym z tobą o czemś pomówić. — To szczególnie, ja także.

Idą oboje do fajczarni. Dla czego babunia tam idzie! Założyłabym się, że da papie list generała do przeczytania.

Babunia jest patriotką. Słyszałam ją nieraz mówiącą, że zawód wojskowych jest najszlachetniejszy i że źle robią matki, które przez samolubstwo, nie pozwalają córkom wychodzić za wojaków. Babunia ma wstręt do tych panów, których całą służbą jest zabijać dużo gołębi na wiosnę i dużo bażantów na jesień; mama zaś ma skryty pociąg do młodzieży, która nic innego nie robi, tylko strzela do gołębi i do bażantów. Z tego powodu bywają częste spory między babunią a mamą. Nakoniec, mija ten dzień. Przy obiedzie, papa odzywa się z niechęcią: — Ten młody oficer znalazł się bardzo

grzecznie; zaprosiłem go więc na obiad, w przyszłą środę. — We środę! wykrzyknęła mama... Dla czegoś tak pośpieszył?... Gotówes tu ściągnąć wszystkich tych wojskowych!... Ten pan jest bardzo miły, nie przeczę, ale żeby nam czasem nie naprowadził innych... Nasz dom będzie wyglądał jak koszary, jak obóz!...

— *Poniedziałek 9 go czerwca.* Głupieję do szczytu. Dziś rano całą godzinę pisałem ośmiowierszowy bilecik z podziękowaniem za zaproszenie. Zaczynałem go dowieść, dwadzieścia razy i zaledwie go wysłał, przypomniałem sobie, że w tych nieszczęsnych ośmiu wierszach jest dwukrotnie powtarzany wyraz *przyjemność*.

— *Poniedziałek 9-go czerwca.* Przyjął! Siedzieliśmy dziś rano przy śniadaniu; okna od jadalnego pokoju wychodzą na podwórze... Naraz mama woła: — A to co? znowu jakiś żołnierz włóczący się po dzieżińcu!..."

Wyglądam i wyrzywa mi się to słówko: — A, to Picot!

Trzeba było widzieć wówczas mamę, trzeba ją było słyszeć! — Tego tylko brakowało! Teraz Joasia zna po imieniu wszystkich tych żołnierzy. — Jednego tylko, mamó, jednego... To ten sam, co parę dni temu przyprowadził Jowisza...

Babunia roześmiała się na cały głos... Jaka teraz wesoła babunia!... Dziś rano śpiewała na wschodach! Musiała odebrać doskonałe wiadomości od tego generała!...

Po śniadaniu, porwałam *jego* list... Jaki wytworny, chociaż prosty! Napiszę go tu dosłownie: „*Szanowny panie, miałem zaszczyt odebrać zaproszenie na przyszłą środę dnia 11-go czerwca i przyjmuję takowe z największą wdzięcznością i przyjemnością. Sprawiło mi to wielką przyjemność, że córka pańska jest zadowolona z konia. Racz, szanowny panie, przyjąć za pewnienie mego szacunku...*”

— Jestem przekonana, że umyślnie powtórzył dwa razy słowo: *przyjemność* wiedząc, że zobaczę jego list, chciał położyć nacisk na tę ideję.

— „*Wtorek 10-go czerwca.* Będę jutro u niej na obiedzie.

— *Wtorek 10-go czerwca.* Będzie u nas jutro na obiedzie. Zbliżamy się do wielkiego dnia obiadowego. Zaczniij ty swój opis.

— Posłuchaj mię, Joasiu... poprzestańmy dziś na tem... Zresztą... zobaczno która godzina.

— Ach, druga!

— Tak, druga po północy! Byłaby to już dostateczna przyczyna... ale jest jeszcze inna... Zdaje mi się, że odtąd nasze notaty staną się okropnie jednostajne. Będzie w nich tylko miłość, miłość i miłość! Nic więcej nie znajdzie się w tych książeczkach... przynajmniej w moich.

— W moich także.

— Miłość, taka jak u wszystkich, miłość z wolnością widywania się, miłość z wolnością rozmawiania z sobą... Mogąc cię widywać z blizką, coś dziwnego, że zobaczył jaką jesteś, to jest najładniejszą i najlepszą ze wszystkich kobiet! Cóż za zasłu-

ga w tem, że cię pokochał! Nie, tylko początek naszego romansu był niezwykle i rozkoszny. Pokochaliśmy się niejako z instynktu, zdaleka, od pierwszego wejrzenia, niepotrzebując mówić do siebie, ani się znać. Co do mnie, odrazu wyczytałem twą duszę w oczach. Od 11-go czerwca, to jest od owego obiadu, aż do 17 sierpnia, czyli do dnia ślubu, zamieniliśmy z sobą dużo, dużo słów; powiedzieliśmy sobie wiele słodkich i miłych rzeczy, ale nigdy, Joasiu moja, nie było pomiędzy nami rozmowy tkliwej, namiętniejszej jak ta niedorzeczna, na podwórze, przy stajni, wobec Jowisza i Picot'a. Takie wzruszenie opanowało mię wtenczas, że uczuł, iż w twoich rękach los mój spoczywa. Wyszedłem z tego dziedzińca na ulicę les Arcades z tą pewnością, że będziesz moją i że poświęcę temu całe życie, żeby cię uszczęśliwić. Dwa lata upłynęło już od owej chwili... Czy dotąd udało mi się to, kochaneczko moja?

— O! tak, mój najdroższy. O! tak!...

Już nie siedziała na poduszce, lecz u niego na kolanach... Odłożyli na bok książeczki i nie czytali więcej tego wieczoru.

DEFILADA.

Świat byłby rozkoszną rzeczą, gdyby się nim można bawić jakby na widowisku, po cichu, w kąciку, siedząc wygodnie w fotelu... Ale czy to możebne? Jesteśmy na łasce natrętów, gadułów i głupców, których imię — *legion*. Stajemy się ich rzeczą, ich państwą... ci nędznicy nie dają nam swobodnie przylgądać się komedyjkom rozgrywającym się ostrożnie w salonach.

Wczoraj wieczór zaznałem jednak rzadkiej uciechy, jaką jest samotność wśród tłumu. Po wielu zręcznych wybiegach, udało mi się wsunąć we framugę drzwi, gdzie prawie całkiem ukryty za ciężką portyerą z atlasu broszowanego, rozkosznie przepędziłem godzinę czasu.

Gospodarz i gospodyni domu, stali o kilka kroków odemnie, przyjmując gości u drzwi; ja zaś z mego ukrycia, przyglądałem się defiladzie.

Ach, czemużem nie miał książeczki do notat i ołówka, żeby tak pisać z natury, jak malarze rysują. Ileż to rzeczy byłoby do pochwycenia, w locie nie-

jako, które później rozwiewają się i nikną na zawsze! Co ciekawych fizyonomij! Jakie rozmaite postawy! Wszystko to warto być odszkiecowane życiem. W Gavarni'ego dziele brakuje seryi, któryby miał tytuł: *Petites entrées dans un grand salon*.

Mężowie zwłaszcza są znakomici... Kawaler iatwo sobie radzi... odda głęboki ukłon... uściśnięcie z lekka rękę... poczem zginie w tłumie i koniec. — Ale dla mężów nie jest to tak prostą sprawą... Pani pierwsza wchodzi... pan... potulnie iść musi za nią. Głową stowarzyszenia nie jest on lecz ona. Wczoraj wieczór zwracałem uwagę wyłącznie na mężów... sprawiali mi rozkosz... Co też to odmian w tym gatunku!

Jest mąż odważny... wie, że jego żona brzydka, okropnie brzydka... Trudna rada... Ona była posażna, on miał milion długu... Wodzi do koła siebie śmiałem okiem... Ma odwagę swego przekonania... Piękność przemija a pieniądź pozostaje.

Jest mąż dziwak... on maleńki strasznie brzydki, żona bardzo wysoka i bardzo piękna... wchodzi z szumem, pompacyjnie, on w ślad za nią idzie skulony, nieswobodny. Poczuiwa się do tego, że jest niepotrzebny, że zawadza, że śmieszny. Zresztą, jej suknia, trzymająca się tylko cudem na ramionach, wydaje mu się zbyt jaskrawą, zbyt krzywą, a nade wszystko nadto wyciętą... Jest strasznie zaniepokojony... „to się zsunie...” myśli sobie „to się zsunie... a co ze mną wówczas będzie?” O niebezpieczny ten stanik posprzeczali się w powozie... i to nawet bardzo gwałtownie. Na ustach osiadł naraz uśmiech konwencyonalny, ale oczy zdradzały jeszcze gniew.

Jest poczciwy mąż, delikatny, wygodny, dumny ze swej żony i niezazdrosny. Ona urocza, on nieznający i tego tylko pragnie, żeby mógł w cieniu pozostawać. Wsuwa się, czai się, wciska się nieznacznie, — z taką miną jak gdyby przeproszał za wielką śmiałość. Dobrze wie, że to jego żonę zaprasza, że on sam jest zerem: „Przyprowadzam państwu moją żonę... oto jest... śliczna, nieprawda? Nie zajmujcie się państwo mną, ja pójdę na wista do tego saloniku... Skoro zechce odjechać, będę tam na zawołanie. Na to jestem mężem, żeby jej służyć za towarzysza”.

Jest mąż pyszniący się jak paw. Jego żona bardzo miłutka, bardzo miłutka, ale nie więcej... Jemu się wydaje cudowną. Promienieje, tryumfuje; na prawo i na lewo zbiera powinszowania i oklaski: „A co... ładna dziś... Jeszcze nigdy tak nie wyglądała... A suknia? Sam się nią zajmowałem. Byłem z Emmą u modniarki... Będziemy ozdobą dzisiejszego wieczoru... Od niejakiego czasu zestawiają nas z jakąś amerykanką... Co za niesprawiedliwość! Daleko amerykance do nas!”

Jest mąż obojętny. Ukazanie się żony zwraca powszechną uwagę, sprawia wrażenie... Słychać zaraz lekki szmer i dosyć głośne objawy zachwyty. On się zdaje zadziwiony i wyraźnie mówi spojrzeniem: „Co się z państwem dzieje? Czy na prawdę tak bardzo wam się podoba? Taka jest jak inna, wcale nie ładniejsza”.

Jest mąż filozof... Jego żona, to mały potworek... on wie, że wszyscy tak utrzymują, ale go tylko własny sąd obchodzi. Żona ma śliczną nóżkę... dosyć

mu na tem! Zresztą, daleko jest spokojniejszy i nie tyle niebezpieczeństw mu grozi, niż gdyby miał ładną żonę.

Jest mąż gracz, — najszcześliwszy, gdy nie potrzebuje odwozić żony do domu. Przybywszy na wieczór, tem ma tylko zajęta głowę: „komuby powierzyć Szarlotę?... Ach, gdyby tu była pani B!...” Zaczyna szukać jej i znajduje...

— Czyby pani nie mogła odwieźć Szarloty?

— Z największą przyjemnością.

— Jaka pani łaskawa! — Wolny jest... wolny! ucieka... by w klubie przegrać do dwudziestu tysięcy franków.

Jest mąż zazdrosny (ten gatunek staje się rzadki, ale znajdują się jeszcze okazy). Nazwiemy Piotrem męża, a Pawłem ładniutkiego, ładniutkiego chłopaczka, który od pół godziny stoi przy bramie, śledząc nadjeżdżających.

Paweł jest zmorą Piotra. Ten nieszczęśliwy Piotr nie może zrobić kroku, żeby się nie potknąć o Pawła. Wybierają się z żoną do lasku, konno... na samym początku alei des Poteaux, zjawia się Paweł namiętniejszy, przymilający się, nadskakujący:

— Ach, jakież to szczęśliwy traf!

I puszczają się we troje małym galopem!

W teatrze, na balu, wszędzie i zawsze, ten sam szczęśliwy traf... Piotr żyma się... wyprawia żonę gwałtowne sceny; ale jestto osoba nader spokojna, poważna... nigdy się nie gniewa, ani unosi.

— To traf, mój kochany, to traf!

Piotr puszczał się na próby — powiedział raz w końcu obiadu:

— Czybyśmy nie poszli dziś do teatru?

— I owszem mój kochany.

— Do którego?

— Gdzie zechcesz; mnie to zupełnie obojętne! — odpowiedziała żona ze zwykłym spokojem.

Wtedy wybiera on teatr osobliwy, śmieszny, nieprawdopodobny, w jakiejś oddalonej dzielnicy, teatr prawie nieznaną publiczności.

Idą, siadają w łoży, i od pierwszego rzutu oka, spostrzega Piotr wśród pustych krzeseł w orkiestrze, wiekuistego Pawła, nienniknionego Pawła... Jakim sposobem został powiadomiony? To magia!... To czary!...

Piotr opukuje ściany, zagląda do szaf, bada korytarze, przypuszczając tajemne istnienie telefonu... Dla czegożby nie? Towarzystwom Gover-Edison wróżyłoby to wielką przyszłość, gdyby się dało urządzić w Paryżu, bez wiedzy mężów, małe telefoniki dla użytku kochanków.

Po tym mężu *niespokojnym* idzie mąż *niepokojący*. Zajmuje posadę przynoszącą dziesięć tysięcy franków, a żona jego ma na sobie za sto tysięcy franków koronek i klejnotów. Nie wnikać głębiej... Obecność takich ludzi zadziwia trochę w takim domu. Osoby chcące bronić męża, utrzymują, że gra szczęśliwie w karty....

Gospodyni domu, prawem majątku i urodzenia, może sobie pozwalać na frazesa nienaszego stulecia; więc komuś, co jej radził nieprzyjmować tej dużej pary, odpowiedziała:

— Gdybym zamknęła przed nimi drzwi, niktby ich nie dopuszczał już do siebie i ta biedna kobieta byłaby całkiem zgubioną.

Wchodzi stare małżeństwo: on ma lat sześćdziesiąt, ona pięćdziesiąt pięć... a wygorsowana... Jest to widowisko niezwykle!! Mąż idzie za tą wystawą, zawstydzony i pomieszany... Błaga o litość spojrzeniem pokornym, rozpaczliwym. Zdaje się mówić do nas:

— Tak, tak... wiem... przerażający widok... ale nie mogę temu zaradzić... opanował ją szal gorsowania się... Powiada, że już niema nic ładnego prócz ramion, więc je chce pokazywać. Ach, niewesoła-to rzecz, być zmuszonym włożyć się po świetle za tą starą waryatką.

Podczas gdy robię ten przegląd mężów, defilada ciągnie się bez ustanku... Dochodzą mnie urywki rozmów:

— Pani de X. ślicznie ukostiumowana... bo takie suknie, to prawdziwe kostiumy teatralne.

— Pani de X. jest jedną z tych miłych osóbek, których tryb życia można zawrzeć w trzech słowach: „ubiera się, szczebiocze i rozbiiera się...”

— Ach, jaka twoja suknia, moja droga! Jaka suknia! — woła gospodyni domu — i od kogo?

— Od pani Z. (przemieć nazwisko, żeby to nie wyglądało na reklamę).

— Ach, powinnam się była domyśleć... jej suknie można zaraz poznać.

— Prawda, zawsze są oryginalne, nienaśladowane.

Mąż, człowiek zawiądy, ponury, kwaśną robi mi-nę; on wie, co to „nienaśladowane suknie” kosztują... Jestto zapamiętały bibliofil; byłby wolał kupić jedną książkę więcej na wyprzedaży np. de Béhague, który zawraca obecnie głowy wszystkim wielkim amatorom. — „Trzydzieści tysięcy franków rocznie na stroje... to waryacya!” — mówił sobie w duchu. — „Czyby nie lepiej było wydać te trzydzieści tysięcy franków w księgarniach z pasażu des Panoramas!”

Małżeństwo to spędza życie na wymawianiu sobie sukien i książek. Wciąga jednej z podobnych sprzeczek, żona odezwała się mile:

— Wiem, że się to dobrze sprzedaje po twojej śmierci, ale tymczasem...

Pani de C., za którą wchodzi pan de C., jest uroczą, powiewną, mglistą... Przypomina mi ten ładny frazes pani de Lafayette o Henryecie angielskiej: „Zdawało się ciągle że o serce prosi”. Pani d. C. rzeczywiście wodzi do koła okiem wabiącym i tklivem.

— To ja. Jakże się panom podobam? Prześlizna jestem, prawda? Niezwracajcie uwagi na tego pana, co za mną idzie... on nic nie znaczy... to tylko mój mąż... Któryż z panów chce mię kochać? Jak tak lubię być kochaną... Rzućcie mi jałmużnę!... Jeśli nie macie drobnych, zdam resztę...

Otrzymuje jałmużnę i zdaje resztę. Wchodzi milutka kobiecinka, bez męża. Przyjęta jest ze skwapliwą uprzejmością i z pewnem politowaniem.

Gospodyni wyciągając do niej obie ręce, mówi po cichu, po cichutku.

— Sama?

Halevy. — Nowelle.

— Tak, sama...

— Więc jeszcze?...

— Bardziej niż kiedykolwiek.

Twarz jej, przez wysiłek trudny do uwierzenia, pozostała uśmiechnięta. Jestto jeden z tysiącznych skandalików paryskich... istota czarująca, opuszczona dla lichej śpiewaczki.

Defilada ciągnie się dalej z urywkami rozmów:

— Patti! cudowna była w *Lucyi*.

— Co zrobimy z naszymi dziećmi, jeśli wygnają tych biednych ojców?

— Czyś pan widział ostatnią sztukę w Palais Royal: *Ofiara*? Przecież!...

— A siostrzenica pani czy już odbyła słabość?

— Już, wczoraj.

— Córkę ma?

— Nie, syna.

— Ach! biedaczka, tak pragnęła córki.

— Zostaną nam Dominikanie. Nie wygnają Dominikanów.

— Ta arya mandragory w *Jean de Nivelle* jest porywająca!

— Dominikanie nigdy nie zastąpią tych dobrych ojców.. Mnie przestraszają Dominikanie... naprzykład ojciec Didon... to buntownik.

— Jakież to było zabawne widzieć w operze *Verdiego*, dyrygującego orkiestrą... rzucał się!...

— Wielki artysta nie powinien z siebie robić takiego widowiska.

— Zapewne... ale bądź co bądź, to było bardzo zabawne.

Goście płyną a płyną... Jestto długi szereg brunetek, blondynek i rudych, — chociaż ten kolor włosów zaczyna już wychodzić z mody. Pewien niepokój mię ogarnia... Czy Francuzki nie brzydą czasem? Trzeba to zbadać. Pomiędzy temi pięknymi kobietami, najpiękniejsze są: amerykańki, wiedeński, angielski, szwedki... Gdyby wypadło dawać premia, francuzki byłyby pobite, zupełnie pobite.

Z pośród tych zachwycających cudzoziemek, kilka należało do ciała dyplomatycznego.

Zwróciłem uwagę ministra spraw zagranicznych, na ten fakt; nie jest on bez znaczenia. Europę reprezentują w Paryżu czarujące kobiety. Czy Republika myśli wysyłać ładne republikanki za granicę? Odpowiada, że nie; że ministrowi przedewszystkiem idzie o to, żeby posady zagraniczne obejmowane były przez młodzieńców zacnych, poważnie zapatrujących się na rzeczy i pracowitych. Wymaga się od nich wartości wewnętrznej... jednakże jest to dziś bardzo podrzędnym warunkiem w karierze dyplomatycznej. Odkąd nastały telegrafy, ambasador stracił znaczenie; a jeśli ambasador jest zerem, to czemu są jego attachés?

Dawniej, gdy zamiana listów pomiędzy Paryżem a Petersburgiem lub Paryżem a Waszyngtonem trwała kilka tygodni lub miesięcy, ambasador był zmuszony, od czasu do czasu, rządzić się własnymi ideami. Dziś jest to niepotrzebne: jeden tylko człowiek rozważa, postanawia i wygłasza wyroki, mianowicie — minister. Jeden z naszych ambasadorów telegrafuje do niego:

„O godzinie 12-tej minut 25, powiedziano mi taką to rzecz nieprzyjemną, nie odpowiedziałem nic... Wracam do domu i oczekuję pańskiej odpowiedzi... Co robić?”

O 12-tej minut 55 odpowiada minister:

„Udaj, żeś nic nie słyszał”.

Oto do czego doszły dziś nasze stasunki dyplomatyczne.

Ztąd-to powinno się zachowywać ludzi zacnych i pracowitych dla spraw krajowych, — zagranicę zaś wyprawiać młodzieńców przystojnych, miłych, wesołych, dowcipnych, bogatych, mających ładne żony, lubowników tańca i wszelkich uciech życia, — słowem takich, którzyby nosili z elegancją chorągiew Rzeczypospolitej ateńskiej, uroczyste nam przyobiecanej przez pana Gambettę.

Gości przybywa coraz więcej... wielki salon już pełen... kobiety pousiały... Będzie odegrana komedia. Mężczyźni skupiają się we framugach drzwi i okien.

Nadchodzą państwo B. moi dawni przyjaciele. Pani jest bardzo rozumna i bardzo wesoła. Przed dwoma tygodniami spotkałem się z nią u państwa M. w salon d'attente. Stała przed lustrem, udając że poprawia ubranie głowy, chociaż nie było nie do poprawienia; mąż cierpliwie czekał, obok niej... Zbliżyłem się:

— Pani nie wchodzi?

— Jeszcze nie... chcę zyskać na czasie.

— Jakto?

Tylko co weszła do salonu pani de R. czarnująca i prześlicznie ubrana... musiała sprawić piorunujące

wrażenie... Po niej... ja... i moja suknia, wyglądałybyśmy lichy; czekam więc, żeby się zjawiała jak brzydota... ale co się nazywa, brzydota,—i do piero za nią wejść.

Gdy kończyła te słowa, nieobracając głowy, ujrzała w lustrze panią de V. żonę agenta bankowego. Była to osóbką okrągłą, pękata, zakroszczona, trędowata, kołysząca się na krótkich nóżkach, tem śmieszniejsza, że miała na sobie brylantów, za sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Tego mi właśnie trzeba, rzekła do mnie po cichu pani de B.... — Nie znajduję nic lepszego...

Pani de B. weszła więc zaraz po pani de V. i prawem kontrastu, z pewnością sprawiła tego wieczoru, korzystne wrażenie.

Wielkie i małe salony są pełne, przepełnione, wszyscy jako tako umieszczeni. Trzykrotnie odzywa się dzwonek, poczem następuje cisza uroczysta... Zacznie się komedia... Tak autor jak artyści należą do wielkiego świata. Ach te komedye pisane przez amatorów! ach, ci aktorzy — amatorowie!

Lord Palmerston zwykł mówić: „Życie byłoby znosne gdyby nie przyjemności”. Karr napisał w „osach” jeśli się nie mylę, mniej więcej, jak następuje:

„Dzieli przyjemności na dwie klasy: te które mię bawią i te, które mię nudzą. Wolę pierwsze i pilnie unikam drugich”.

To bardzo rozumne słowa; ponieważ komedia grana przez amatorów jest jedną z przyjemności, które mię nudzą, zacząłem uciekać, jak się tylko podniosła

zasłona. Jednakże, zanim zdołałem się wymknąć, doszedł mnie początek tego zachwycającego *pro verbe*.

— To pan, kochany baronie.

— Tak, to ja — droga markizo.

— Nie pytam o baronowę... widziałam ją wczoraj u księżnej”.

— A ja spotkałem wczoraj markiza u hrabiego.

To wystarcza... publiczność wie od razu, że się rzecz dzieje w arystokratycznym świecie.

NAUCZYCIEL TAŃCA

Pewnego dnia byłem na obiedzie u dobrych znajomych; wieczorem zapytała mię gospodyni:

— Często pan bywasz w operze?

— Bardzo często.

— I za kulisami?

— Za kulisami także.

— W takim razie mógłbyś mi pan oddać przysługę. Pomiędzy baletnikami jest pan Morin, podobno bardzo zany i przyzwoity człowiek. Jest to nauczyciel tańca małych de B., doskonale daje lekcye, więc chętniebym go wzięła dla moich córeczek. Bądź pan łaskaw zapytać się, czy przychodziłby dwa razy na tydzień?

Podjąłem się z przyjemnością tej drażliwej misyi.

Nazajutrz, 17-go lutego 1881 roku, około dziesiątej wieczór przyszedłem do teatru, by wyszukać pana Morin. Grano *Proroka*; właśnie zaczął się akt trzeci i anabaptyści śpiewali na scenie z dzikiem uniesieniem:

Krwi! Niechaj Judasz ginie!
 Krwi! Tańczmy na ich grobie!
 Krwi! Jeszcze tej! hekatomby
 Bóg od nas wymaga!

Trzymali oni wzniesione topory nad głowami gromady nieszczęśliwych więźni: baronów, biskupów, mnichów i wielkich dam. Za kulisami, baletniczki przybrane w łyżwy, czekały chwili, gdy im wypadnie, lekko jak sylfidy, ślizgać się po lodzie. Po prosiłem grzecznie jedną z tych młodych westalek, żeby mi wskazała pana Morin.

— Morin'a niema pomiędzy łyżwiarkami... jest na scenie... o tam... ubrany za biskupa. Widzisz pan tego biskupa, którego tak szarpią i popychają?... On tu zaraz przyjdzie.

Istotnie, jeden z dowódców anabaptystów zawyrokował, że należy oszczędzać tę szlachtę i tych księży, którzy mogą dać okup za siebie. Morin pozostał więc przy życiu, a ja miałem zaszczyt być mu przedstawionym przez małą westalkę.

Była to szanowna postać z długą siwą brodą, w pięknej fioletowej szacie, z dużym krzyżem pasterskim. Podczas gdy przyprowadzał nieco do porządku swój kostium mocno nadwerężony przez tych opętanych anabaptystów, zapytałem, czy zechce dać lekcje dwóm panienkom z wysokiej sfery.

Pobożny biskup skwapliwie przystał, żądając dziesięciu franków za godzinę.

Małe łyżwiarki wyprawiały na scenie przeróżne osobliwe glisaży; za kulisami zapanowała nagle zupełna cisza; mogliśmy więc prowadzić poufną gawiedź z Jego Excelencyą.

— Tak, mój panie, daję lekcje tańca, mam bardzo piękną praktykę w arystokracji i w wyższym świecie finansowym. Nie mogę narzekać, jednakże muszę przyznać, że dawniej szło lepiej... daleko lepiej... Taniec upada... tak, tak... taniec upada.

— Czy podobna!

— Zapewniam pana. Kobiety jeszcze się uczą tańczyć, ale mężczyźni wcale nie... Wcale nie. Karty, wyścigi, małe teatrzyki... oto co ich zajmuje. Jest to poczęści winą rządu.

— Jakim sposobem?

— Pan J. Ferry zreformował w ostatnich czasach program uniwersytecki; uczynił niektóre rzeczy obowiązującymi, np. języki żyjące. Nie mam mu tego za złe, bo studia nad językami żyjącymi są bardzo korzystne... ale... dla tańca nic nie zrobiono... chociaż właśnie taniec, przede wszystkim, należało uczynić obowiązującym. W każdym liceum powinien być metr tańca, powinna być normalna szkoła tańca, egzamina i konkursy tańca... Powinny być zadawane ćwiczenia w tańcu, zarówno jak łacińskie i greckie. Taniec jest także językiem i językiem, którymby dobrze wychowany człowiek, powinien umieć mówić... A wiesz pan, co się dziś dzieje? Oto dają w dyplomacji stanowiska młodzieńcom, którzy się myślą w figurach kadryla; nie są w stanie dwóch minut tańczyć walca. Sami czują, że ich edukacja jest niezupełną. Niedawno przyszedł do mnie pewien młodzieniec, mający podobno, wielką wartość po za tańcem. Został on właśnie mianowanym attaché przy jakiejś wielkiej ambasadzie. Jeszcze

nigdy w życiu nie tańczył... nigdy... słyszysz pan... nigdy! Rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa. Ten biedny chłopak nie wiedział, co to kadryl. Oto jakich ludzi wybiera pan Barthélemy Saint-Hilaire!... Ach, ta broda mnie dusi... pozwoli pan...

— Bardzo proszę...

Po odjęciu siwej brody, już nie miał tak szanownej postaci.

— Powiedziałem temu młodzieńcowi, mówił dalej — spróbujemy, ale ciężko pójdzie... Nauki tańca nie rozpoczyna się w dwudziestym-ósmym roku życia. Ociosałem go, o ilem mógł, ale wszystkiego było na to dwa tygodnie czasu. Zaklinałem, żeby odłożył wyjazd i wyrobił sobie zwłokę na trzy lub cztery miesiące; byłbym z niego coś zrobił; ale nie chciał. Pojechał, nie nieumiejąc. Często o nim myślę. Będzie nas tam reprezentował, a zareprezentuje nas bardzo źle; nie przyniesie zaszczytu swemu krajowi. Pamiętaj pan, że może mu tam wypadnie figurować w kadrylu dworskim, tańczyć na przykład z arcyksiężniczką... Niechże się tam zacnie płatać z tą swoją arcyksiężniczką... ładnie będzie... wszystko to jest smutno... Jam republikanin panie; republikanin starej daty... boleśnie mi myśleć, że republika jest reprezentowaną przez dyplomatów nieumiejących odróżnić *changement de pied* od *buttement de jambe*... Wiesz pan, co mówią na dworach zagranicznych? „Cóż to za dzikich ludzi przysyła nam Francja?” Tak... oto co mówią. Personel dyplomatyczny nie był świetny za cesarstwa... o, nie!...

ci panowie dużo baków strzelali... o tak!... ale przynajmniej musieli tańczyć!

Pocziwy mój biskup. Widząc, że go słuchano z zajęciem, prowadził dalej swą świetną improwizację.

— Taniec, mój panie, jest nie tylko przyjemnością i zabawą, nie — to ważna sprawa społeczna. Kwestya małżeństwa, na przykład, jest ściśle związana z kwestyą tańca. Obecnie we Francyi małżeństwo jest w upadku... statystyka tego dowodzi. Co do mnie, mam przekonanie, że dla tego mniej małżeństw się kojarzy, że ludzie mniej tańczą. Weź pan najpierw to na uwagę, że gdy młodzieniec przystojny ale ubogi, umie dobrze, bardzo dobrze tańczyć, daje mu to prawdziwe stanowisko w świecie. Jeden z moich uczniów świetnie się ożenił w tych czasach: Był to chłopiec bardzo pospolity, który wszystko próbował, a nie mu się nie wiodło, ale walcował wybornie i temu zawdzięcza dwa miliony.

— Dwa miliony!

— Tak, dwa miliony... i to gotówką! Wziął je za sierotą bez ojca i matki. Porwał pannę do walców... a była bardzo tłusta... czując, że w jego ręku lekka jak piórko, to jedno miała już tylko w głowie, żeby z nim walcować. Szalała zupełnie! Dawał jej poznać nowe wrażenia, a czegoż kobiety pragną przedewszystkiem? Doświadczać nowych wrażeń... Słowem, odrzucała markizów, hrabiów, milionerów... On jeden jej się podobał... i zdobyła go: a nie miał ani jednego sou i nazywał się Durand. Ach, nie powtarzaj pan nikomu jego nazwiska... nie powinienem go być powiedzieć

— Nie obawiaj się pan.

— Zresztą... możesz pan powtórzyć; nie nie szkodzi, to takie pospolite nazwisko. Państwo ma interes w małżeństwach z miłości; w ten sposób bowiem łączy się ubogi młodzieniec z bogatą panną, albo uboga panna wychodzi za bogatego młodzieńca. To wprawia pieniądze w ruch, zapobiega by nie pozostawały w miejscu, powoduje obieg kapitałów. Otóż, dawniej, trzy czwarte małżeństw z miłości zawiązywało się przez taniec. Obecnie spotykają się panny z kawalerami, przelotnie, w salonach wystawy sztuk pięknych, w muzeach, w Operze Komicznej. Rozmawiają z sobą, — bardzo dobrze; ale rozmowa nie wystarcza... Rozum coś znaczy, lecz nie stanie za wszystko. Przetaniecienie walca dostarcza objaśnień, jakich od rozmowy nie można się spodziewać. Krawcowe tak daleko dochodzą teraz w swej sztuce, że oko łatwo oszukać, ale rękę wprawnego tancerza, nigdy! On się może bardzo dobrze przekonać o prawdziwym stanie rzeczy.

— Oo! oo!

— To mu nie przeszkadza być zupełnie delikatnym i przyzwolitym. Ja, na przykład, zawdzięczam swoje szczęście walcowi. Pani Morin nie była jeszcze panią Morin... kręciłem się koło niej, alem się wahał. Wydawała mi się chudą... a przynajmniej, że takiej żony nie chciał... wahałem się więc, kiedy jeden z moich przyjaciół wyprawił balik. Zapraszam do pierwszego walca tę, która miała być towarzyszką mego życia. Od razu uczułem pod ręką rozkoszną kibić, jedną z tych, co zarazem pełne i rozpięte są...

Walcując z zapalem, powiadam sobie: to „pozorna chudość! To zwodnicza chudość!” Odprowadziwszy ją na miejsce, po walcu, zaraz poszedłem oświadczyć się o jej rękę matce, która prośby mojej nie odrzuciła. Od lat czterestu jestem najszczęśliwszym z ludzi; a możebym się nie był ożenił, gdybym nie umiał walcować. Wiesz pan teraz jakie bywają następstwa walcowania?

— Wiem.

— To nie wszystko jeszcze... Dzięki tańcowi można nie tylko zdać sobie sprawę z wdzięków jakiejś osoby, z jej biustu i kibici, — ale nawet umiejętnie walcując, łatwo zbadać zdrowie i konstytucję kobiety. Pamiętam, pewnego wieczoru, ze dwa naście lat temu, było to na ulicy le Peletier, w starej operze, która się spaliła... stałem za kulisami, czekając wyjścia na scenę do *pas des frotteurs* w *Wilhelmie Tellu*... Wiesz pan, w trzecim akcie... Dwu spektatorów rozmawiało nieopodal odemnie, w kulisach. Jeden z nich był moim uczniem kiedyś, tyłu miałem uczni! Mimowoli słyszałem urywki rozmowy i te dwa frazesy wpadły mi w ucho: A cóż, decydujesz się? — Milutka jest, wprawdzie, ale podobno ma słabe piersi, odpowiedział mój uczeń. Wtedy postąpiłem wbrew moim zwyczajom; przeprosiwszy, że usłyszał przypadkiem ich słowa, rzekłem do mego dawnego ucznia: — Domyślam się, że idzie o małżeństwo; jeśli mię pan upoważnisz, dam ci radę opartą na doświadczeniu czerpanem z mego zawodu. — Czy pozwalają walcować pannie? Wiesz pan, że niektóre matki zabraniają ..

— Wiem, wiem.

— Jej pozwalają, odpowiedział mój uczeń. W takim razie, rzekłem, postąp pan w ten sposób: Znam cię... Wiem, coś wart... Masz silne mięśnie i płuca. Walcuj z tą panną pięć minut, bez wypoczynku; jeśli powie: — Dostyć już, dostyć! — odpowiedz, jakby w upojeniu: — O, nie, nie pani! jeszcze! — Udawaj że cię walcowanie z nią w zachwyt wprawia. Będzie myślała, że cię ogarnął szal tańca, jak w *Gizelli*. Pochlebi jej to, chociażby tehu nie mogła już chwycić. Po upływie dobrych pięciu minut takiego walcowania stań naraz w miejscu... i pochyliwszy się trochę nad jej ramieniem, w upojeniu... Wale upoważnia do podobnych pozycji... Przysłuchaj się jej oddechowi w plonsach... Jeśli będzie świszczalo jak w miechu, nie żęń się... ale gdy nie nie usłyszysz, to się żęń! to się żęń!

Staaliśmy na tym punkcie owej zajmującej rozmowy, kiedy się skończył balet. Obaj z moim biskupem zostaliśmy obłężeni przez zupełny rój tyżwiarerek. Moja mała westalka, zastawszy mnie tam gdzie pozostawiła, pyta:

— Cóż-to, przyszedłeś się pan spowiadać w ope-rze?!... Daj mu rozgrzeszenie, panie Morin, i od-daj mi go. Chodźmy trochę do foyer.

Wzięła mnie pod rękę... i poszliśmy razem, a nie-oceniony Morin, pełen odwagi i godności, w swych kapłańskich szatach, został pośród ruchliwej rzeszy tancerek.

AMBASADOR CHIŃSKI.

W pierwszych miesiącach 1870 r. Anglicy i Francuzi, przebywający w pewnej miejscowości w Chinach, zostali zamordowani. Zażądano zadość uczynienia. — Jego ekscelencya Tszong-Ken, opiekun następcy tronu, wice-prezes ministerium wojny, został wysłany do Europy, w charakterze nadzwyczajnego posła, przy dworach angielskim i francuskim.

Niedawno Tszong-Ken ogłosił w Pekinie ciekawe sprawozdanie ze swojej podróży. Jeden z moich przyjaciół, przebywający w Szangai i posiadający doskonale język chiński, przysłał mi jak najdokładniejsze tłumaczenie wyjątku z książki Tszong-Ken.

Havre, 12 września 1870.

Wylądowuję i daję się poznać. Jestem ambasadorem cesarza chińskiego. Przybywam z przeprosinami do cesarza francuzów i z podarunkami dla cesarzowej. Dowiaduję się, iż niema już ani cesarza, ani cesarzowej, że ogłoszona Rzeczpospolita. Znalazłem się w ogromnym kłopotcie. Zastanawiałem się: czy te przeprosiny i podarunki złożyć Rzeczypospolitej?

Havre, 14 września 1870.

Po długim namyśle postanowiłem: przeprosiny złożyć... a podarunki zachować.

Havre, 26 września 1870.

Lecz gdzie i kogo mam przeprosić? Rząd Rzeczypospolitej francuskiej, rozdzielony na dwoje: jedna połowa przebywa w Paryżu a druga w Tours. O udaniu się do Paryża, myśleć nawet niepodobna, bo jest oblężony i blokowany przez prusaków. Pojadę do Tours.

Havre, 2 października 1870.

Nie jeździłem i nie pojadę do Tours. Wczoraj miałem odwiedzić korespondenta gazety *Times*; jest to człowiek bardzo miły i rozsądny. Oświadczyłem, iż mam zamiar udać się do Tours.

— Do Tours... i cóż pan tam będziesz robił?

— Złożę przeprosiny władcy ministrowi spraw zewnętrznych rzeczypospolitej francuskiej.

— Kiedy tego ministra niema w Tours.

— A gdzie jest?

— Blokowany w Paryżu.

Minister spraw zewnętrznych, zamknięty w mieście oblężonem... wydało mi się to czemś nadzwyczajnem.

— Z jakiej przyczyny masz pan składać przeprosiny rządowi francuskiemu? zapytał korespondent *Times'a*.

— Zamordowaliśmy kilku francuzów, przebywających w Chinach,

— Francuzów? Obecnie ta rzecz niema żadnej wagi. Mógłbyś pan śmiało wrzucić do morza, gdyby ci się podobało, wszystkich przybyśszy francuzów.

— Ale my, przez nieuwagę, zamordowaliśmy także kilku anglików.

— Zamordowaliście anglików! O, to wcale inna rzecz! Anglia zawsze jest wielkim narodem. Zapewne polecono panu oświadczyć przeprosiny królowej Wiktorii?

— Tak, oświadczyć przeprosiny i złożyć podarunki.

— Jedź pan, jedź natychmiast do Londynu i nie zajmuj się wcale Francją. Niema już Francyi!

Korespondent *Times'a*, miał minę zadowoloną, wymawiając te słowa: Nie ma już Francyi!

Londyn, 10 października 1870.

Widziałem królową angielską. Przyjęła mnie nader grzecznie. — Raczyła przyjąć przeprosiny i podarunki.

Londyn, 12 października 1870.

Miałem długą rozmowę z lordem Granvillem, ministrem spraw wewnętrznych królowej Anglii. Oświadczałem Jego Ekscelencji, że zamierzam natychmiast wracać do Chin i że zdaje mi się, że nie mam po co zaprzętać się mojem poselstwem francuskim, ponieważ niema już Francyi. Lord Granville odpowiedział:

— Nie rób pan tego, będziesz zmuszony powracać i to prędzej niż ci się zdaje. — Francya jest krajem niezwykłym, może się podnieść bardzo prędko. — Zaczekaj końca wojny i wówczas oświadczysz swe przeprosiny rządowi stałemu, jaki Francya sobie

Halevy. Nowelle.

obierze. Do tego czasu pozostań w Anglii... Będzie nam bardzo miło, gdy przyjmiesz naszą gościnność.

Londyn, 3 listopada 1870.

Nie odjechałem do Chin... Czekam w Londynie, żeby minister spraw zewnętrznych w Paryżu został deblokowany i żebym się mógł na koniec porozumieć z rządem francuskim. — Jest tu dużo paryżanek, które z powodu wojny uciekły ze swej ojczyzny. Wczoraj byłem na obiedzie u Jego królewskiej wysokości księcia Walii. — Trzy paryżanki, wszystkie trzy młode i piękne, opanowały mnie po obiedzie. Przewadziliśmy po angielsku, bardzo przyjemną rozmowę.

— Pan szukasz rządu francuskiego, powiedziała mi jedna z nich, rządu legalnego... ależ on jest tu w Anglii, o pół godziny drogi od Londynu. Jedź pan jutro do stacyi Waterloo i weź bilet do Chiselhurst. Zastaniesz tam Napoleona III, który nigdy nie przestawał być cesarzem francuzów.

— Nie słuchaj jej, panie ambasadorze, powiedziała śmiejąc się druga, nie słuchaj pan; jest to zawzięta bonapartystka. — Tak, tak, rzeczywisty władca Francji jest w Anglii, bliźutko od Londynu, ale nie w Chiselhurst. — Należy jechać nie do stacyi Waterloo ale do Wiktorya... bilet zaś brać nie do Chiselhurst lecz do Twickenham i tam pan znajdziesz w Orléans-House, Jego wysokość hrabiego Paryża...

— Nie słuchaj jej, panie ambasadorze, wykrzyknęła znowu ze śmiechem trzecia. Ona jest okropną rewolucjonistką. Hrabia Paryża, nie jest następcą

tronu francuskiego. Ażby odszukać prawowitego króla, trzeba pojechać dalej, nie do Chiselhurst i Twickenham, trzeba się udać do Austrii, do pałacu Frohsdorf.... Królem Francji jest wnuk Henryka IV, hrabia Chambord.

Jeżeli umiem liczyć, to jest trzech władców prawowitych, wszyscy trzej detronizowani... U nas w Chinach nie było nigdy nic podobnego... Nasza stara dynastia walczyła z najciemiejszymi Mongołami i z powstaniem Tajpingów, lecz żeby mieć trzech legalnych królów w jednym kraju i na jednym tronie: trzeba się udać do Europy.

Te trzy piękne paryżanki, mówiły o tem bardzo wesoło i zdawały się najlepszymi w świecie przyjaciółkami.

Londyn, 13 listopada 1870.

Jako dalszy ciąg moich trzech francuzek, przedstawicielek trzech rozmaitych monarchij, miałem dziś do czynienia u lorda Granville, z trzema francuzami, przedstawicielkami trzech rozmaitych rzeczypospolitych.

Pierwszy z nich zapytał, dla czego nie jadę do Tours.

— Znajdziesz pan tam, powiedział, upelnomocnionych przedstawicieli rzeczypospolitej francuskiej i udając się do pana Gambetty, udasz się przez to samo do Francji...

— Nie rób tego, panie ambasadorze, wykrzyknął drugi francuz; prawdziwy rząd, prawdziwej rzeczypospolitej francuskiej, jest obecnie zamknięty w Paryżu... Jeden tylko pan Juliusz Favre, może prawnie przyjąć pana wizytę i przeprosiny.

— Rzeczpospolita paryżka, tyle warta, co rzeczpospolita w Tours; powiedział trzeci. Jeżeli mamy rzeczpospolitą we Francji, nie jest nią rzeczpospolita pana Gambetty, ani rzeczpospolita pana Juliusza Favre.

— A więc czyja?

— Rzeczpospolita pana Thiersa...

Tu zaczęli się na dobre kłócić, okropnie rozczewienieni, krzyczeli z całej siły i machali rękami. Dysputa o trzech monarchiach, była daleko miłszą niż o rzeczpospolitych.

Ci panowie, tak się urządzili, iż w ciągu wieczoru, każdemu z nich udało się szepnąć mi do ucha:

— Nie słuchaj pan, powiedział pierwszy, tego stronnika rządu paryżkiego. Jest to adwokat, przybył tu z misją od pana Favre'a, otóż rozumiesz pan... Ponieważ grubo jest płatny, chciałby go podtrzymać.

— Nie słuchaj pan, rzekł drugi, tego stronnika przyszłej rzeczpospolitej pana Thiersa. Jest to tylko zamaskowany monarchista, orleanista i nic więcej.

— Nie słuchaj pan, odezwał się na koniec trzeci, tego stronnika rzeczpospolitej z Tours... Jest to jegomość, przybył tu z polecenia tego rządu, aby zaciągnąć pożyczkę. Ponieważ spodziewa się przytem dużo zarobić...

Jeżeli umiem liczyć, mam przed sobą rządy: trzech monarchij i trzech rzeczpospolitych.

Londyn, 6 grudnia 1870.

Zdaje mi się, że Jego Ekscelencya pan von Bernstoff, ambasador pruski w Anglii, żartuje sobie ze

mnie. Zawsze przy spotkaniu, oświadcza mi, że Paryż jutro będzie kapitulował... Lecz mijają dni a Paryż nie kapitułuje. — Z tem wszystkiem dziś wieczór Jego Ekscelencya, zdawał się tak pewny swego, że mogę gotować się do drogi.

Paryż, 20 lutego 1871.

Jednakże nie wyjechałem wcześniej jak 10 lutego... Nakoniec jestem już w Paryżu... Jechałem powoli, bardzo powoli. — Wieleż to wiosek popalonych! Wiele domów zrabowanych, lasów, wyciętych, dróg zkopanych, mostów kłei żelaznych zniszczonych! A Europejczycy nazywają nas barbarzyńcami!

Z tych wszystkich ruin, znalazłem jedną, która ma duszę przepełniła najżywszą i najśodsza radością: pałac w Saint-Cloud, był letnią rezydencją cesarza Napoleona... Nie pozostał z niego kamień na kamieniu. Spoglądałem długo, chciałem, z ciekawością na jego poczerniałe gruzy. — Szczątki starych wazonów chińskich były jakby zakopane w zwaliskach, pomiędzy kawałkami marmuru i bomb...

Zkąd pochodziły te starożytne wazy? Może z letniego pałacu naszego cesarza? tego pałacu, który był spustoszony, zniszczony przez żołnierzy francuzkich i angielskich, którzy mieli u nas zaszcześcić cywilizację!

Byłem jak najlepiej przyjęty przez anglików; zarzucono mnie zaproszeniami i grzecznościami, ale nie wątpię ani na chwilę, że przyjdzie kolej na pałac Buckingham i Windsor.

Paryż, 25 lutego 1871.

Odniosłem się na piśmie do pana Juliusza Favre, że od pół roku czekam na możliwość powitania i złożenia przeprosin w imieniu cesarza chińskiego... Pan Favre odpowiedział, że musi wyjechać do Bordeaux i że da posłuchanie dopiero w pierwszych dniach marca.

Paryż, 7 marca 1871.

Nowy list od pana Favre: Jestem oczekiwany we Frankfurcie przez pana Bismarcka... Moje posłuchanie znów odłożone.

Paryż, 17 marca 1871.

Nakoniec, jutro 14 marca o ówartej godzinie, przyjdzie mnie pan Favre, w ministerium spraw zewnętrznych.

Paryż, 18 marca 1871.

Ja i moich dwóch sekretarzy, wkładamy ceremonialne stroje i jedziemy około godziny trzeciej wraz z tłumaczem. — Przybywamy... Podwórze pełne ludzi, strasznie zajętych i mocno czemś wzburzonych, którzy to szli, to wracali, wynosząc skrzynki i paki. — Tłumacz zamieniwszy kilka słów z jednym z urzędników ministerium, powiedział mi:

— Zaszły ważne wypadki; wybuchło powstanie. Rząd znów zmuszony zmienić miejsce pobytu.

W tej chwili otwierają się drzwi i zjawia się pan Favre we własnej osobie, z ogromną teką pod pachą. — Objawia on tłumaczowi, że za kilka dni, udzieli mi posłuchania w Wersalu. Oddawszy mi głęboki pokłon, który mu zwróciłem, natychmiast uciekł, biegnąc ze swoją teką.

Wersal, 19 marca 1871.

Zmuszony byłem jak najspieszniej opuścić Paryż w południe. — Rzeczywiście jest tam nowy rząd, lecz żadna z trzech monarchij, ani z trzech republik... tylko siódma z rzędu kombinacja, nazywająca się „komuną...” Tego ranku, banda ludzi uzbrojonych okrążyła dom, w którym mieszkałem... Pokazuje się, że nowy minister spraw zewnętrznych państwa, byłby bardzo rad, udzielić posłuchanie ambasadorowi chińskiemu. — Przybyli więc aby mnie porwać. — Zdołałem jednak uciec... mając obowiązek widzieć się z ministrem spraw zewnętrznych z Wersalu, ale nie z Paryża.

Mój Boże! Jakże to wszystko powikłane i kiedyż nakoniec zdołam pochwycić tę osobistość, która mi się ciągle wymyka z rąk, będąc albo blokowana, albo wypędzana z Paryża!

Wersal, 6 kwietnia 1871.

Nakoniec wczoraj miałem zaszczyt być przyjętym przez Jego Ekscelencję, rozmawialiśmy o wypadkach paryskich.

— To powstanie, mówił mi pan Favre, jest najsilniejsze ze wszystkich, jakie dotąd wybuchły.

Nie mogłem zbyć milczeniem tego wielkiego błędu historycznego. — Odpowiedziałem, że mamy w Chinach od tysiąca lat socjalistów i powstania socjalistyczne, że komuniści francuzcy są tylko niezręcznymi naśladowcami naszych Tajpingów chińskich, że mieliśmy w 1230 roku oblężenie Nankinu, które trwało lat siedem, etc. etc. Ci europejczycy w ogóle,



wznawiają tylko naszą historję, lecz z mniejszą powagą a z większem barbarzyństwem

Wersal, 15 maja 1871.

Moja misja skończona, mógłbym wracać do Chin, lecz wszystko co tu widzę, strasznie mię zajmuje. Ta wojna domowa, która nastąpiła zaraz po wojnie zagranicznej, jest rzeczą bardzo ciekawą. — Dla chińczyka jest to doskonała sposobność, zgłębienia faktycznie i naocznie cywilizacyi europejskiej.

Wersal, 24 maja 1871.

Paryż pali się i na tarasie pałacu Saint-Cloud pośród jego zwalisk, spędziłem cały dzień w obec tego widoku. Jest to obecnie miasto martwe i w niwecz obrócone.

Paryż, 10 czerwca 1871.

Wcale nie tak!... Jest to zawsze najpiękniejsze miasto w Europie, najświetniejsze i najweselsze; zamierzam tu pozostać przez czas jakiś.

Paryż, 29 czerwca 1871.

Pan Thiers odbył wczoraj w Boulogne, wielki przegląd stu tysięcy wojska. Miałaby Francya istnieć jeszcze?

315936



papierze, kosztuje w Warszawie i we wszystkich agenturach księgarskich:

Dwanaście kopiejek srebrem,

a z przesyłką pocztową *piętnaście kopiejek*. — Dla uniknienia jednak pomyłek przy przesyłce pieniędzy z prowineyi, zamówienia tylko na kolejne tomiki przyjmować będziemy: to znaczy: nadsyłający rs. 1 kop. 50 otrzymają dzieśięć z rzędu wydanych tomików rs. 3 (po 50-tym) — dwadzieścia i t. d.

Spis autorów których głównie mamy na widoku.

Anakreont, Andersen, Balzak, Béranger, Björnson, Boccaccio, Börne, Brentano, Bret-Harte, Bulwer, Bürger, Burns, Byron, Chamisso, Czajkowski, Dannilewsk, Dante, Delavigne, Dickens, Dumas, Eckstein, Eschylus, Eurypides, Feuille, Foscolo, Gellert, Girardin, Goethe, Gogol, Goldoni, Goldsmith, Heine, Hoffmann, Höltz, Homer, Horacy, Iffland, Jan Paweł, Jokay, Kalderon, Klopstock, Koerner, Krasicki, Krasicki, Kraszewski, Lesage, Lessing, Longfellow, Lope de Vega, Maffai, Maistre, Malczewski, Manzoni, Marlit, Marryat, Mickiewicz, Moliere, Moore, Moreto, Morus, Moeser, Murad effendi, Murger, Nibellungi, Niemcewicz, Osian, Pellico, Pestalozzi, Petöfi, Platen, Plaut, Ponsard, Pope, Puszkina, Rasin, Rabelais, Rochefoucauld, S. Pierre, Sand, Sandeaus, Sardou, Schlegel, Schopenhauer, Schüchling, Scott, Scribe, Scheridan, Słowacki, Sofokles, Souvestre, Stern, Swift, Szekspir, Sziller, Tacyt, Tasso, Tegner, Tenyson, Teufel, Turgeniew, Victor Hugo, Voltaire, Voss, Weilen, Wieland, Wiergiliusz, Zaleski, Zmorski, Zschokke, Zachariae i wielu, wielu innych mianowicie nowożytnych

315936

1. Goethe.
2. Heine.
3. Börne.
4. Goethe.
5. Macaulay. Szkice krytyczne i historyczne (Milton).
6. (de) Musset Alfred. Karmozyna, dramat.
7. Wiliam Szekspir. Zimowa Powieść, dramat.
8. Henryk Heine. Obrazy z podróży (Norderney).
9. Börne Ludwik. Wybór szkiców i powieści t. II.
10. A. Chamisso. Dziwna historia Piotra Schlemihl'a.
11. Henryk Heine. Obr. z podr. (Dobosz Legrand).
12. Mark Twain. Humoreski tom I.
13. Petöfi. Wybór poezyj.
14. Henryk Heine. Obrazy z podróży. Listy z Berlina.
- 15 i 16. Goethe. Cierpienia Młodego Wertera.
17. La Rochefoucauld. Maksymy i myśli moralne.
18. (de) Musset Alfred. Andrea del Sarto, dramat.
19. Iwan Turgenjew. Pamiętniki myśliwca.
- 20 i 21. Heine Henryk. Księga Pieśni, w przekładzie Al. Mielezki Maliszkieвича.
- 22 i 23. Szekspir. Otello, tragedia.
24. Karolina Świetla. Powieści wiejskie.
25. Mark Twain. Humoreski tom II.
- 26 i 27. Erckman Chatrian. Pani Teresa.
- 28, 29 i 30. Jean Paul. Hesperus. (Biografia).
31. Mark Twain. Humoreski t. III.
- 32, 33 i 34. Prevost. Manon Lescaut.
35. Lermontow. Demon.
36. Puszkina. Cyganie.
37. (de) Musset Alfred. Ludwisia.
- 38—40. Erckmann-Chatrian. Rekrut z 1813 roku.
- 41 i 42. Arystofanes. Rycerze.
43. Henryk Heine. Melodye Hebrajskie.
- 44 i 45. Walerya Marrené. Augusta.
46. Henryk Ibsen. Nora.
- 47 i 48. Karolina Świetla. Z rodzinnej kroniki.
- 49 i 50. Ludwik Börne. Wybór szkiców i powieści.
51. Jarosław Vrchlicki. Drahomira. Tragedya.
- 52 i 53. Walerya Marrené. Mąż Lenory.